

HERMANN HESSE



PODRÓŻE SENNE



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

HERMANN HESSE



PODRÓŻE SENNE

PRZEŁOŻYŁ
LECH CZYŻEWSKI



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Podróże senne

Notatka

Był raz człowiek, który wykonywał niezbyt poważany zawód beletrysty, należał jednak do owej niewielkiej liczby literatów, którzy w miarę możliwości traktują swój zawód poważnie i których nieliczni entuzjaści darzą czcią podobną do tej, jaką we wcześniejszych czasach, kiedy istniała jeszcze poezja i poeci, obdarzano prawdziwych poetów. Literat ów pisał rozmaite ładne rzeczy, pisał powieści, opowiadania, a także wiersze, dokładając przy tym wszelkich starań, by dobrze wykonywać swoje rzemiosło. Rzadko jednak udawało mu się sprostać własnej ambicji, ponieważ, choć uważał się za skromnego, popełniał ten błąd, że w swej zarozumiałości nie mierzył się ze swoimi kolegami ani ze współczesnymi, lecz z poetami minionych czasów z tymi zatem, którzy przez pokolenia dowiedli już swej wartości – i musiał później z bólem wciąż na nowo stwierdzać, że nawet najlepsza i najbardziej udana stronica, jaką kiedykolwiek napisał, dalece ustępuje najpośledniemu zdaniu albo wersowi każdego prawdziwego poety. Stawał się przeto coraz bardziej niezadowolony i utracił wszelką radość z pracy, a jeśli pisał jeszcze czasem jakiś drobiazg, robił to jedynie po to, by w formie gorzkiej krytyki swego czasu i samego siebie dać upust i wyraz temu niezadowoleniu i wewnętrznej pustce, co oczywiście nie poprawiało niczego; czasami próbował również powrócić w zaczarowane ogrody czystej poezji i składał hołd pięknu w ładnych utworach, w których pieczołowicie wznosił pomniki naturze, kobietom oraz przyjaźni, i poezje te istotnie miały w sobie pewną muzykę oraz były podobne do poezji prawdziwych poetów, które przypominały mniej więcej tak, jak przelotne zadurzenie albo wzruszenie przypomina czasem człowiekowi interesu albo światowcowi o jego utraconej duszy.

Pewnego dnia w porze między zimą a wiosną pisarz ów, który tak bardzo chciał być poetą i nawet przez niejednego był za takowego uważany, siedział znowu przy biurku. Jak zwykle wstał późno, dopiero około południa, po spędzeniu połowy nocy na lekturze. Teraz siedział zatem, wpatrując się w miejsce na papierze, w którym poprzedniego dnia przestał pisać. Na papierze tym znajdowały się mądre rzeczy, wyłożone giętkim i pełnym oglądy językiem, celne pomysły, kunsztowne opisy, niejedna piękna raca i świetlna kula wzbijała się z

tych linijek i stronic, rozbrzmiewało z nich niejedno subtelne uczucie – a jednak piszący był rozczarowany tym, co czytał na swoich kartkach, rozczarowany siedział przed tym, co zeszłego wieczora z niejaką radością i entuzjazmem rozpoczął, co wczoraj przez jedną wieczorną godzinę wyglądało jak poezja, w ciągu nocy zaś znowu przemieniło się w literaturę, w obrzydły zapisany papier, którego właściwie było szkoda.

W tej nieco żalosalnej południowej godzinie czuł znowu coś i zastanawiał się nad czymś, co nieraz już czuł i nad czym się zastanawiał, a mianowicie osobliwy tragikomizm własnego położenia, głupotę skrytego uroszczenia do prawdziwego pisarstwa (bo przecież prawdziwe pisarstwo w dzisiejszej rzeczywistości nie istniało i nie mogło istnieć) oraz naiwność i głupią daremność usiłowań stworzenia za pomocą swej miłości do dawnej poezji, wysokiego wykształcenia oraz czułego słuchu na słowa prawdziwych poetów – czegoś, co dorównałoby prawdziwej poezji albo do złudzenia by ją przypominało (bo bardzo dobrze wiedział, że z wykształcenia i naśladownictwa nic zgoła nie da się stworzyć).

Do pewnego stopnia wiedział również i zdawał sobie sprawę, że beznadziejne ambicje i dziecięce złudzenia wszystkich jego wysiłków nie są bynajmniej czymś odosobnionym i osobistym, lecz że każdy człowiek, również ten z pozoru normalny, również ten z pozoru szczęśliwy i cieszący się powodzeniem, hołubi w sobie tę samą głupotę i beznadziejną ułudę, że każdy człowiek wciąż, nieustannie dąży ku czemuś niemożliwemu, że nawet ktoś najbardziej niepozorny nosi w sobie ideał Adonisa, ktoś najgłupszy – ideał mędrca, ktoś najbiedniejszy – wymarzony obraz Krezusa. Ba, do pewnego stopnia wiedział nawet, że również ten tak bardzo wielbiony ideał „prawdziwej poezji” niewiele jest wart, że Goethe równie beznadziejnie wznosił wzrok ku Homerowi albo Szekspirowi jako czemuś nieosiągalnemu, jak dzisiejszy literat może wznosić wzrok ku Goethemu, i że pojęcie „poeta” jest jedynie miłą abstrakcją, że również Homer i Szekspir byli jedynie literatami, uzdolnionymi specjalistami, którym udało się nadać swym dziełom pozór czegoś ponadosobistego i wiecznego. Do pewnego stopnia wiedział to wszystko, tak jak mądrzy i nawykli do myślenia ludzie zdają sobie sprawę z tych oczywistych i strasznych rzeczy. Wiedział lub przeczuwał, że również część jego własnych prób pisarskich wywrze być może na czytelniku jakiejś późniejszej epoki wrażenie „prawdziwej poezji”, że późniejsi literaci będą może spoglądali wstecz ku niemu i jego czasom z tęsknotą jako ku złotemu wiekowi, kiedy istnieli jeszcze prawdziwi poeci, prawdziwe uczucia, prawdziwi ludzie, prawdziwa natura i prawdziwy duch. Było mu także wiadomo, że już zażywny małomieszczanin z okresu biedermeierowskiego i otyły drobnomieszczanin ze średniowiecznego miasteczka równie krytycznie i równie sentymentalnie przeciwstawiali swoje wyrafinowane, zepsute czasy niewinnemu,

naiwnemu, szczęśliwemu Wczoraj i przyglądali się swoim dziadom i ich stylowi życia z taką samą mieszaniną zawiści i współczucia, z jaką dzisiejszy człowiek skłonny jest przyglądać się szczęśliwym czasom sprzed wynalezienia maszyny parowej.

Wszystkie te myśli były literatowi znane, podobnie jak zdawał sobie sprawę z wszystkich tych prawd. Wiedział, że ta sama gra, to samo pożądliwe, szlachetne, beznadziejne dążenie do czegoś ważnego, wiecznego, cennego samego w sobie, które pobudzało go do zapisywania kartek papieru, pobudzało również wszystkich innych: generała, ministra, posła do parlamentu, elegancką damę, praktykanta handlowego. Wszyscy ludzie dążyli w jakiś sposób, raz mądrzejszy, raz głupszy, do wzniesienia się ponad siebie i ponad to, co możliwe, rozpaleni skrytymi marzeniami, oślepieni wzorami, wabieni ideałami. Nie było porucznika, który nie nosiłby w sobie myśli o Napoleonie – i Napoleona, który czasami nie uważałby siebie za osła, swoich sukcesów za liczmany, swoich celów za złudzenia. Nie było nikogo, kto nie tańczyłby z innymi tego tańca. Ani takiego, który kiedyś w jakimś zakamarku duszy nie uświadomiłby sobie tej ułudy. Oczywiście, istnieli osobnicy doskonali, istnieli ludzie-bogowie, istniał Budda, istniał Jezus, istniał Sokrates. Lecz również oni byli doskonali i bez reszty przeniknięci wszechwiedzą tylko w jednym jedynym momencie, w momencie umierania. Ich umieranie nie było niczym innym, jak ostatecznym przeniknięciem wiedzą, ostatecznym, wreszcie udanym poświęceniem się. I być może każda śmierć miała to znaczenie, być może każdy umierający był kimś osiagającym doskonałość, kto uwalniał się od błędu dążenia, kto się poświęcał, kto nie chciał już być niczym.

Tego rodzaju myśl, choć jest ona tak mało skomplikowana, bardzo przeszkadza człowiekowi w dążeniu, w działaniu, w kontynuowaniu swej gry. Dlatego też praca ambitnego pisarza nie posuwała się w tej godzinie naprzód. Nie było słowa, które zasługiwałoby na zapisanie, nie istniała myśl, której przekazanie byłoby naprawdę konieczne. Nie, szkoda było papieru, lepiej żeby pozostał niezapisany.

Z tym uczuciem literat odłożył pióro i włożył kartki do szuflady; gdyby pod ręką był ogień, włożyłby je do ognia. Sytuacja ta nie była dla niego nowa, wiele razy już jej zasmakował, stanowiła jakby okiełznaną i nauczoną cierpliwość rozpacz. Umył ręce, włożył kapelusz i płaszcz i wyszedł z domu. Zmiana miejsca była jednym z jego od dawna sprawdzonych środków zaradczych, wiedział, że nie jest dobrze w takim nastroju pozostawać długo w tym samym pomieszczeniu z całym zapisanym i niezapisanym papierem. Lepiej było wyjść, poczuć w płucach powietrze i poćwiczyć oczy na ulicznej grze obrazów. Mogło się zdarzyć, że spotka

piękne kobiety albo natknie się na przyjaciela, że zgraja uczniów albo jakaś uciechna zabawka w oknie wystawowym skieruje jego myśli na inny tor, mogło się zdarzyć, że automobil jednego z panów tego świata, wydawcy gazety albo bogatego mistrza piekarskiego, przejedzie go na rogu ulicy; istniały różne możliwości zmiany stanu rzeczy, stworzenia nowej sytuacji.

Powoli szedł w przedwiosennym powietrzu, widział kępki śnieżyczek kiwające się na smutnych skrawkach trawnika przed czynszowymi domami, wdychał wilgotne i ciepławe marcowe powietrze, które skłoniło go do skręcenia w stronę parku. Tam, w słońcu między огоłoconymi z liści drzewami, usiadł na ławce, zamknął oczy i oddał się grze zmysłów w tej przedwcześnie wiosennej słonecznej godzinie: jak miękko powietrze pieściło policzki, jakże pełne ukrytego żaru płonęło już słońce, jak ostro i trwożliwie pachniała ziemia, jak przyjaźnie i figlarnie tupotały od czasu do czasu na żwirze alejek dziecięce buciki, jak miło i aż nazbyt słodko śpiewał wśród nagich zarośli kos. Tak, wszystko to było bardzo piękne, a ponieważ wiosna, słońce, dzieci i kos to były same prastare rzeczy, które już przed tysiącami lat sprawiały człowiekowi radość, nie sposób było właściwie zrozumieć, dlaczego nie można dzisiaj ułożyć równie pięknego wiersza o wiosnie jak przed pięćdziesięciu czy stu laty. A jednak nie udawało się to. Najdelikatniejsze wspomnienie wiosennej pieśni Uhlanda (zresztą z muzyką Schuberta, której preludium ma tak cudownie dojmujący i podniecający posmak przedwiośnia) wystarczało, by dzisiejszemu poecie w sposób najbardziej dobitny pokazać, że owe zachwycające rzeczy na jakiś czas zostały już wyśpiewane do końca i nie mają sensu próby naśladowania tych tak niewyczerpane pełnych, tchnących błogością tworów.

W tym samym momencie, kiedy myśli pisarza miały właśnie znowu zboczyć na te stare, jałowe tory, wyjrzał on przez wąską szczelinę między przymrużonymi powiekami i spostrzegł, nie samymi oczyma, lekkie kołysanie i lśnienie, wyspy słonecznego blasku, refleksy światła, plamy cienia, zasnuty bielą błękit na niebie, migoczący korowód rozchwianych świateł, jaki widzi każdy, mrużąc oczy pod słońce, tylko że jakoś zaakcentowany, w jakiś sposób cenny i szczególny, przez jakąś tajemną treść przemieniony ze zwykłego spostrzeżenia w przeżycie. Tym, co tak promieniście rozbłysło, zakołysało się, rozmyło, zafalowało i uderzyło skrzydłami, nie była jedynie burza świetlna na zewnątrz, a jej widownią jedynie oko, było to jednocześnie życie, wzbierający impuls płynący z wnętrza, a jego widownią była dusza, był własny los. W ten sposób widzą poeci, „wieszczowie”, w ten zachwycający i wstrząsający sposób widzą dotknięci przez Erosa. Zniknęła myśl o Uhlandzie i Schubercie, i o wiosennych pieśniach, nie było już Uhlanda ani poezji, ani przeszłości, wszystko było wiecznotrwałą chwilą, przeżyciem, najbardziej wewnętrzną rzeczywistością.

Oddając się cudowi, który przeżywał nie po raz pierwszy, do którego jednak, jak mu się zdawało, powołanie i łaskę dawno już roztrwonił, szybował przez nieskończone chwile w beczasowości, w harmonii duszy i świata, czuł, jak jego oddech przesuwają chmury, czuł, jak w jego piersi obraca się ciepłe słońce.

Kiedy jednak, pogrążony w niezwykłym przeżyciu, spoglądał w dół przez zmrużone oczy, trzymając wszystkie bramy zmysłów przymknięte, ponieważ dobrze wiedział, że miły strumień wrażeń płynie z wnętrza – dostrzegł obok siebie na ziemi coś, co przykuło jego uwagę. Była to, jak powoli i stopniowo rozpoznał, drobna stopa jakiejś dziewczynki, jeszcze dziecka; tkwiła ona w brązowym półbuciku i mocno i radośnie stapała po piasku alejki, całym ciężarem wspierając się na obcasie. Ten mały dziewczęcy bucik, ten brązowy kolor skóry, to radosne dziecięce stapanie małych podeszew, ten kawałek jedwabnej pończochy nad delikatną kostką coś pisarzowi przypomniały, wypełniły jego serce nagle i przejmująco niczym wspomnienie jakiegoś ważnego przeżycia, lecz nie był w stanie odnaleźć przewodniej nici. Dziecięcy bucik, dziecięca stopa, dziecięca pończocha – co go to obchodziło? Gdzie był klucz do tego? Gdzie było źródło w jego duszy, które dawało odzew akurat na ten obraz spośród milionów, kochało go, przyciągało ku sobie, odczuwało jako drogi i ważny? Na chwilę zupełnie otworzył oczy, przez pół uderzenia serca widział całą postać dziecka, ładnego dziecka, poczuł jednak natychmiast, że nie jest to już ów obraz, który go dotyczył, i mimo woli znowu błyskawicznie zmrużył powieki na tyle, by przez resztę chwili móc widzieć znikającą dziecięcą stopę. Potem zupełnie zamknął oczy, rozmyślając o tej stopie, czując jej znaczenie, lecz go nie znając, udreńczony daremnym poszukiwaniem, a zarazem uszczęśliwiony siłą tego obrazu w swej duszy. Gdzieś, kiedyś przeżył już ten obrazek małej stopy w brązowym buciku i przepoił to przeżycie wartością. Kiedy to było? Och, to musiało być bardzo dawno temu, w zamierzchłym czasie, tak bardzo wydawało się odległe, z tak daleka, z tak niewyobrażalnej głębi spoglądało w górę ku niemu, tak głęboko było zatopione w studni pamięci. Być może nosił to w sobie, zagubione i aż do dziś nieodnalezione, już od wczesnego dzieciństwa, od owego bajecznego czasu, którego wszystkie wspomnienia są tak rozmyte, nieobrazowe i tak trudne do przywołania, a jednak barwniejsze, cieplejsze, pełniejsze niż wszelkie późniejsze wspomnienia. Długo kiwał głową z zamkniętymi oczyma, długo rozważał na wszystkie strony, widział, jak rozbłyskuje w nim to ten, to inny wątek, ten lub ów ciąg przeżyć, lecz w żadnym z nich to dziecko ani jego brązowy dziecięcy bucik

nie były na swoim miejscu. Nie, nie dawało się tego odnaleźć, kontynuowanie poszukiwań było beznadziejne.

Przydarzało mu się z tym poszukiwaniem wspomnień to, co przydarza się komuś, kto nie jest w stanie rozpoznać obiektu stojącego tuż przed nim, ponieważ uważa go za bardzo odległy i dlatego błędnie interpretuje wszystkie kształty. Jednakże w chwili gdy poniechał swych usiłowań i był już gotów zostawić w spokoju, zapomnieć to śmieszne drobne przeżycie zmrużonych oczu, cała rzecz obróciła się na opak i dziecięcy bucik wskoczył na właściwe miejsce. Z głębokim westchnieniem mężczyzna poczuł nagle, że w zatłoczonej sali obrazów jego wnętrza dziecięcy bucik nie spoczywa na samym dole, nie należy do prastarego zasobu, lecz jest całkiem świeży i nowy. Dopiero co miał do czynienia z tym dzieckiem, dopiero co – tak mu się zdawało – widział, jak bucik biegiem się od niego oddala.

I oto nagle go miał. Tak, ach tak, to było to; oto stało przed nim dziecko, do którego należał bucik, i było fragmentem snu, który przyśnił się pisarzowi poprzedniej nocy. Mój Boże, jak można to było zapomnieć? W środku nocy obudził się, uszczęśliwiony i wstrząśnięty tajemniczą siłą swego snu, przebudził się z uczuciem, że miał ważne, wspaniałe przeżycie – a wkrótce potem znowu zasnął i jedna godzina porannego snu wystarczyła, by całe wspaniałe przeżycie wymazać, tak że dopiero w tej sekundzie, obudzony przelotnym widokiem dziecięcej stopy, znowu o nim pomyślał. Tak ulotne, tak nietrwałe, tak zupełnie zdane na przypadek były najgłębsze, najcudowniejsze przeżycia naszej duszy! Lecz cóż to? Nawet teraz nie udawało mu się już odtworzyć całego snu z tej nocy. Można było jeszcze tylko odnaleźć pojedyncze obrazy, częściowo pozbawione związku, niektóre świeże i pełne blasku życia, inne szare i zakurzone, już pierzchające. A jednak jakże piękny, głęboki, uduchowiony był ten sen! Jak bardzo przy tamtym pierwszym nocnym przebudzeniu biło mu serce, zachwycone i strwożone jak w świąteczne dni dzieciństwa! Jak mocno przeniknęło go uczucie, że dzięki temu snowi przeżył coś szlachetnego, ważnego, niezapomnianego, niemożliwego do utracenia! Teraz zaś, zaledwie kilka godzin później, istniał już tylko ten okruszek, tych kilka rozwiewających się obrazków, to słabe echo w sercu – wszystko inne było utracone, przeminęło, nie posiadało życia!

Ta resztką została jednak teraz ocalona. Pisarz zaraz powziął postanowienie, że wyszuka w pamięci wszystko, co jeszcze pozostało ze snu, i spisze to tak wiernie i dokładnie, jak tylko możliwe. Od razu wyciągnął z kieszeni notatnik i poczynił pierwsze zapiski w formie haseł, by w miarę możliwości odnaleźć strukturę i zarysy całego snu, jego główne kontury. Ale to również się

nie udawało. Ani początku, ani końca snu nie sposób już było rozpoznać, a co do większości istniejących jeszcze okruchów, nie wiedział, gdzie w historii ze snu jest ich miejsce. Nie, musiał inaczej rozpocząć. Przede wszystkim musiał uratować to, co jeszcze było do uchwycenia, natychmiast zatrzymać tych kilka jeszcze niewygasłych obrazów, przede wszystkim dziecięcy bucik, zanim one również ulecą, te płochliwe czarodziejskie ptaki.

Podobnie jak grabarz usiłuje odczytać napis odnaleziony na prastarym kamieniu, rozpoczynając od nielicznych rozpoznawalnych jeszcze liter albo znaków, tak nasz bohater próbował czytać swój sen, składając go kawałek po kawałku.

Miał we śnie do czynienia z jakąś dziewczyną, osobliwą, być może niespecjalnie piękną, ale w pewien sposób cudowną dziewczyną, która miała może trzynaście albo czternaście lat, lecz była mniejsza, niż mógłby wskazywać jej wiek. Miała zabrązowaną od słońca twarz. Jej oczy? Nie, ich nie widział. Jej imię? Nieznane. Jej związek z nim, śniącym? Stop, oto brązowy bucik! Widział ten bucik, jak porusza się wraz ze swoim bratem bliźniakiem, widział, jak tańczy, widział, jak wykonuje taneczne kroki, kroki bostona. O tak, teraz wiedział już znowu całe mnóstwo. Musiał zacząć od nowa.

A zatem: we śnie tańczył z cudowną, obcą małą dziewczynką, z dzieckiem o zabrązowanej twarzy, w brązowych bucikach – czy nie wszystko w niej było brązowe? Również włosy? Również oczy? Również ubranie? Nie, tego już nie wiedział – można tak było przypuszczać, wydawało się to możliwe, ale nie pewne. Musiał trzymać się tego, co było pewne, tego, na czym rzeczywiście opierała się jego pamięć, inaczej się pogubi. Już teraz zaczął przeczuwać, że to poszukiwanie snu daleko go zaprowadzi, że rozpoczął oto długą, nieskończoną drogę. I właśnie w tym momencie znowu odnalazł kawałek.

Tak, tańczył z tą dziewczynką, albo chciał tańczyć, albo powinien był, a ona, jeszcze sama, wykonała kilka żwawych, bardzo elastycznych, zachwycająco sprężystych tanecznych kroków. A może jednak z nią tańczył, może nie była sama? Nie. Nie, nie tańczył, jedynie chciał to robić, a raczej tak było umówione, między nim a kimś innym, że zatańczy z brązową dziewczynką. Ale ona potem zaczęła tańczyć jednak sama, bez niego, a on trochę się tańczenia obawiał albo wstydził, był to boston, nie umiał go dobrze. Ona jednak zaczęła tańczyć, sama, figlarnie, z cudownym wyczuciem rytmu, starannie kreśląc małymi brązowymi bucikami figury tańca na dywanie. Ale dlaczego on sam nie tańczył? Albo dlaczego z początku chciał tańczyć? Co to była za umowa? Tego nie był w stanie odnaleźć.

Nasunęło się kolejne pytanie: Do kogo podobna była ta miła dziewczynka, kogo przypominała? Długo szukał na próżno, wszystko znowu wydawało się beznadziejne i przez chwilę był wręcz zniecierpliwiony i rozdrażniony, omal wszystkiego znowu nie zaniechał. Ale oto pojawiła się nowa myśl, rozbłysnął nowy trop. Mała była podobna do jego ukochanej – o nie, nie była do niej podobna, był nawet tym zdumiony, jak mało ją przypominała, chociaż była przecież jej siostrą. Zaraz! Jej siostrą? Och, cały trop znowu zapłonął jasno, wszystko nabrało sensu, wszystko było na swoim miejscu. Ponownie zaczął notować, zafascynowany wylaniającym się nagle napisem, głęboko zachwycony powrotem obrazów, które uważał za utracone.

Było tak: we śnie pojawiała się jego ukochana, Magda, nie, jak w ostatnim czasie, kłótniwa i w złym humorze, lecz niezwykle przyjazna; nieco wyciszona, lecz zadowolona i ładna. Powitała go ze szczególną spokojną czułością, bez pocałunku, podała mu rękę i powiedziała, że teraz chce go w końcu przedstawić swojej matce, a tam, u matki, pozna również jej młodszą siostrę, która później jest mu przeznaczona na ukochaną i żonę. Siostra jest znacznie od niej młodsza i bardzo lubi tańczyć, najszybciej ją sobie zjedna, idąc z nią na tańce.

Jakże piękna była Magda w tym śnie! Jakże pałała z jej czystych oczu, jasnego czoła, gęstych, wonnych włosów cała wyjątkowość, słodycz, serdeczność i delikatność jej natury, tak jak w jego wyobrażeniach o niej w okresie, gdy darzył ją największą miłością! A potem zaprowadziła go we śnie do jakiegoś domu, do swojego domu, do domu swej matki i dzieciństwa, do swego duchowego domu, aby pokazać mu tam matkę oraz małą, piękniejszą siostrę, żeby poznał i pokochał tę siostrę, ponieważ jest mu ona przeznaczona na ukochaną. Nie mógł sobie już jednak przypomnieć domu, jedynie pusty przedsiónek, w którym musiał czekać, i nie mógł sobie również przypomnieć matki, w tle widoczna była jedynie stara kobieta, ubrana na szaro albo czarno bona lub piastunka. Potem jednak przyszła tamta mała siostra, zachwycające dziecko, dziesięcio- czy jedenastoletnia dziewczynka, w swej istocie jednak jakby czternastolatka. Szczególnie jej stopa w brązowym buciku była taka dziecinna, tak zupełnie niewinna, uśmiechnięta i nieświadoma, tak jeszcze nie mająca w sobie nic ze stopy damy, a jednak tak kobieca! Przyjaźnie przyjęła jego powitanie i Magda w tym momencie zniknęła, pozostała już tylko ta dziewczynka. Przypomniawszy sobie radę Magdy, zaprosił ją do tańca. Ona zaś natychmiast, rozpromieniona, skinęła głową i bez wahania zaczęła tańczyć, sama, on nie odważył się jej objąć i tańczyć wraz z nią, po pierwsze dlatego, że była taka piękna i doskonała, a poza tym dlatego, że tańczyła bostona, taniec, w którym nie czuł się pewnie.

W przerwie między próbami odzyskania sennych obrazów literat musiał przez chwilę pośmiać się z siebie. Przyszło mu do głowy, że dopiero co myślał jeszcze o tym, jak bezcelowe jest usiłowanie napisania nowego wiersza o wiosnie, skoro wszystko to już dawno zostało powiedziane w nieprześcigniony sposób – lecz kiedy pomyślał o stopie tańczącego dziecka, o lekkich, wdzięcznych poruszeniach brązowych bucików, o czystości figury tanecznej, jaką kreśliły na dywanie, oraz o tym, że całą tę piękną grację i pewność siebie okrywał jednak nalot onieśmienia, mgiełka dziewczęcej wstydlivosti, wówczas stało się dla niego jasne, że wystarczyłoby zaśpiewać pieśń na cześć tej dziecięcej stopy, by przewyższyć wszystko, co wcześniejsi poeci kiedykolwiek powiedzieli o wiosnie, młodości i miłosnym przeczuciu. Ledwie jednak jego myśli zboczyły na ten obszar, ledwie zaczął bawić się myślą o wierszu *Do stopy w brązowym buciku*, poczuł z przestachem, że cały sen chce mu się znowu wymknąć, że wszystkie szczęśliwe obrazy rozrzedzają się i roztapiają. Trwożnie przywołał myśli do porządku, czuł jednak, że cały sen, nawet gdyby zapisał jego treść, nie należy już w tej chwili w pełni do niego, zaczyna się stawać obcy i stary. Natychmiast również poczuł, że już zawsze tak będzie: że te zachwycające obrazy tylko tak długo będą do niego należeć i wypełniać jego duszę swą wonią, jak długo on będzie całym sercem nimi zaprzątnięty, bez ubocznych myśli, bez trosk.

Pograżony w myślach, pisarz ruszył w drogę powrotną do domu, niosąc przed sobą sen jak nieskończenie skomplikowaną, nieskończenie kruchą zabawkę z najcieńszego szkła. Bardzo się o niego obawiał. Ach, gdyby udało mu się bez reszty odtworzyć w sobie postać ukochanej ze snu!* Odbudowanie całości z brązowego bucika, z tanecznej figury, z brązowego blasku na twarzy dziewczynki, z tych niewielu drogocennych resztek wydawało mu się ważniejsze niż wszystko inne na świecie. I czy rzeczywiście nie musiało to być dla niego nieskończenie ważne? Czy ta ujmująca wiosenna postać nie była mu obiecana na ukochaną, czy nie była zrodzona z najgłębszych i najczystszych źródeł jego duszy, czy nie wyszła mu naprzeciw jako symbol przyszłości, jako przeczucie możliwości przeznaczonych mu przez los, jako jego najbardziej własny sen o szczęściu? I chociaż się trwożył, w głębi serca był nieskończenie radosny. Czyż to nie wspaniałe, że można było śnić takie rzeczy, że nosiło się w sobie ten świat z najbardziej ulotnej czarodziejskiej materii, że w głębi naszej duszy, w której tak często szukaliśmy rozpaczliwie i nadaremnie niczym w usypisku gruzów jakiejś resztki wiary, radości, życia – że w głębi tej duszy mogły wyrastać takie kwiaty?

Po przyjsciu do domu literat zamknął za sobą drzwi i położył się na kanapie. Trzymając w ręku zeszyt z zapiskami, uważnie przeczytał zanotowane hasła i stwierdził, że są bezwartościowe, że nic nie dają, że tylko przeszkadzają i zagradzają drogę. Wyrwał kartki i starannie je zniszczył, po czym postanowił

niczego więcej nie zapisywać. Leżał niespokojnie, szukając skupienia, gdy nagle pojawił się znowu fragment snu, znów ujrzał siebie czekającego w obcym domu, w tamtym nagim przedsionku, zobaczył, jak w głębi tam i z powrotem chodzi zatroskana stara dama w ciemnej sukni, raz jeszcze odczuł brzemienną przeznaczeniem chwilę: że teraz Magda poszła przyprowadzić mu jego nową, młodszą, piękniejszą, jego prawdziwą i wieczną ukochaną. Staruszka spoglądała ku niemu przyjaźnie i z troską – zza jej rysów i spoza jej szarej sukni wyłoniły się inne rysy i inne suknie, twarze piastunek i opiekunek z jego własnego dzieciństwa, twarz i szara suknia domowa jego matki. I czuł, jak z tego pokładu wspomnień, z matczynego, siostrzanego kręgu obrazów wyrasta ku niemu przyszłość i miłość. Za tym pustym przedsionkiem, pod okiem zatroskanych, drogich, wiernych matek i służących wyrosło dziecko, którego miłość miała go uszczęśliwić, którego posiadanie miało być jego szczęściem, którego przyszłość miała być jego własną.

Również Magdę ujrzał teraz znowu, jak wita go bez pocałunku, tak osobliwie, zarazem czule i poważnie, jak jej twarz raz jeszcze, niczym w złocistym świetle wieczoru, zawiera cały czar, który kiedyś dla niego posiadała, jak w chwili wyrzeczenia się i pożegnania raz jeszcze promienieje całą łaskawością ich najszcześniejszych czasów, jak jej zapadła i ściągnięta twarz zwiastuje już tę młodszą, piękniejszą, prawdziwą, jedyną przyszłą, aby mu ją przyprowadzić i pomóc zdobyć. Sama wydawała się symbolem miłości, jej pokory, zdolności przemiany, jej na pół matczynej, na pół dziecięcej czarodziejskiej mocy. Wszystko, co kiedykolwiek widział w tej kobiecie, co o niej wyśnił, czego w niej pragnął i co o niej wyśpiewał, cała promiennosc i uwielbienie, jakimi ją obdarzał w okresie swej największej miłości, było skupione w jej twarzy, cała jej dusza wraz z jego własną miłością stała się twarzą, promieniała z poważnych, drogich rysów, uśmiechała się smutno i przyjaźnie z jej oczu. Czy można było rozstać się z taką ukochaną? Lecz jej spojrzenie mówiło: musi nastąpić rozstanie, musi wydarzyć się nowe.

I na małych, zwinnych dziecięcych stopach weszło to nowe, weszła siostra, lecz jej twarzy nie było widać, nic z niej nie było wyraźnie widoczne poza tym, że była mała i zgrabna, jej stopy tkwiły w brązowych bucikach, miała brązową twarz i ubranie, i z zachwycającą doskonałością potrafiła tańczyć. I to bostona – taniec, którego jej przyszły ukochany wcale dobrze nie umiał. Nic innego nie mogło lepiej wyrazić wyższości dziecka nad dorosłym, bardziej doświadczonego, często zawiedzionym, niż fakt, że tak swobodnie, zgrabnie i bezbłędnie tańczyła, i to akurat taniec, z którym on tak źle sobie radził, w którym tak beznadziejnie jej ustępował!

Przez cały dzień literat zajęty był swoim snem, a im głębiej się weń zapuszczał, tym wydawał mu się on piękniejszy, tym bardziej zdawał się przewyższać wszystkie poezje najlepszych poetów. Przez długi czas, przez niejeden dzień żywił pragnienie i układał plan zapisania tego snu w taki sposób, by nie tylko dla samego śniącego, ale i dla innych posiadał to niewysłowione piękno, głębię i serdeczność. Dopiero znacznie później porzucił owe pragnienia i usiłowania, zrozumiał bowiem, że musi się zadowolić tym, iż w duszy będzie prawdziwym poetą, marzycielem i wieszczem, lecz że jego rzemiosłem pozostać musi fach zwykłego literata.

Tragiczne

Kiedy redaktorowi naczelnemu zameldowano, że zecer Johannes czeka od godziny w przedpokoju i w żaden sposób nie udaje się go odprawić ani przełożyć wizyty na inny termin, skinął z nieco melancholijnym i zrezygnowanym uśmiechem głową i odwrócił się na swoim obrotowym krześle w stronę cicho wchodzącego do pokoju mężczyzny. Wiedział z góry, jaki problem sprowadza do niego wiernego białobrodego zecera, wiedział, że jest to beznadziejna, równie sentymentalna, co nudna sprawa, że nie będzie mógł spełnić życzeń tego człowieka ani wyświadczyć mu żadnej przysługi poza wysłuchaniem go z uprzejmą miną. Ponieważ jednak petent, od wielu lat pracujący w gazecie składacz, był nie tylko sympatycznym i godnym szacunku, lecz również wykształconym człowiekiem, a nawet bardzo cenionym i niemalże sławnym w przedmodernistycznym okresie pisarzem – podczas jego odwiedzin, które tradycyjnie zdarzały się raz lub dwa razy w roku i zawsze miały podobny przebieg oraz odnosiły takie samo powodzenie, a raczej niepowodzenie, redaktor doznawał uczucia stanowiącego mieszaninę litości i zakłopotania, które wzmogło się do silnego dyskomfortu, kiedy zameldowany mężczyzna cicho wszedł do środka i z ugrzecznioną ostrożnością zamknął za sobą bezszelestnie drzwi.

– Niech pan usiądzie, Johannesie – rzekł redaktor naczelny zachęcającym tonem (niemalże tym samym, którego używał niegdyś jako redaktor działu kulturalnego wobec młodych literatów i którym posługiwał się dzisiaj w stosunku do młodych polityków). – Cóż słyhać nowego? Czy chce się pan na coś poskarżyć?

Johannes spojrział na niego nieśmiało i smutno otoczonymi mnóstwem drobniutkich zmarszczek oczami, oczami dziecka w twarzy starca.

– To wciąż to samo – rzekł zgnębionym i łagodnym głosem. – I dzieje się coraz gorzej, rzeczy zmierzają szybko ku pełnemu upadkowi. Ostatnio dostrzegłem zatrważające symptomy. To, co przed dziesięcioma laty zjeżyłoby włosy na głowie nawet przeciętnego czytelnika, dzisiaj nie tylko jest przezeń chętnie przyjmowane w dziale rozmaitości i na kolumnie sportowej, nie mówiąc już o drobnych ogłoszeniach – nie, wdarło się to nawet do działu kultury, nawet do artykułu wstępnego. Również u dobrych, cenionych literatów te błędy, te potworności i wynaturzenia są dzisiaj czymś oczywistym, stały się regułą. Także u pana, panie redaktorze naczelny, niech pan wybaczy, także u pana! Od dawna

nie chcę już mówić o tym, że nasz język literacki jest już tylko żebraczym żargonem, wynędzniałym i zawszonym, że wszystkie piękne, bogate, rzadkie, pełne oglady formy zanikły, że od lat w żadnym artykule wstępnym nie spotkałem czasu przyszłego dokonanego, nie mówiąc już o bogatym, szeroko oddychającym, szlachetnie zbudowanym, sprężystym kroczącym zdaniu, solidnym, świadomym swej struktury, wznoszącym się pięknie, przyjemnie wybrzmiewającym okresie. Wiem, to przeminęło. Podobnie jak na Borneo i wszystkich tamtych wyspach wytępiono rajskie ptaki, słonie i bengalskie tygrysy, tak samo zniszczono i wydarto z korzeniami wszystkie urokliwe zdania, wszystkie inwersje, wszystkie subtelne gry i odcienie naszego drogiego języka. Wiem, że nie ma tu już czego ratować. Ale oczywiste błędy, pozostawione w tekście rażące potknięcia, a nawet całkowita obojętność wobec podstawowych reguł gramatycznej logiki! Ach, panie doktorze, z dawnego przyzwyczajenia zaczyna się zdanie od „Aczkolwiek” albo od „Z jednej strony” i po zaledwie dwóch liniijkach tekstu zapomina się o nieskomplikowanych przecież z pewnością zobowiązaniach, jakie się zaciągnęło, rozpoczynając w ten sposób zdanie – ukreca się łeb następnikowi, zbacza się w inną konstrukcję i tylko najlepsi usiłują przynajmniej ukryć skandal za myślnikiem, złagodzić go kulisą wielokropka. Pan wie, panie redaktorze naczelny, że ów myślnik należy również do pańskiego rynsztunku. Kiedyś, przed laty, wydawał mi się on fatalny, był przeze mnie znienawidzony, ale doszło do tego, że dzisiaj witam go ze wzruszeniem, ilekroć się pojawia, i jestem panu głęboko wdzięczny za każdy taki myślnik, gdyż jest to bądź co bądź pozostałość dawnych czasów, jest to oznaka kultury, nieczystego sumienia, jest to skrótowe, zaszyfrowane wyznanie piszącego, że uświadamia sobie pewne zobowiązanie wobec językowych prawideł, że do pewnego stopnia odczuwa skruchę i żal, kiedy musi, zniewolony przez godne ubolewania konieczności, nazbyt często sprzeniewierzać się świętemu duchowi języka.

Redaktor, który podczas tej przemowy z zamkniętymi oczami kontynuował obliczenia przerwane przez jego gościa, powoli otworzył oczy, spojrzął nimi pogodnie na Johannesę, uśmiechnął się życzliwie i rzekł powoli, uspokajająco, wyraźnie usiłując przez wzgląd na staruszkę dobierać przyzwoitych sformułowań:

– No cóż, Johannesie, ma pan zupełną rację, już wcześniej zawsze to panu przyznawałem, ów język z dawniejszych czasów, ów kulturalny, pięknie wypielegnowany język, który przed dwoma, trzema dziesiątkami lat znali jeszcze choćby w przybliżeniu liczni autorzy i umieli się nim posługiwać, ów język umarł naturalną śmiercią. Umarł naturalną śmiercią podobnie jak umarły budowlę Egipcjan i systemy gnostyków, jak musiały umrzeć Ateny i Bizancjum. To smutne, drogi przyjacielu, to tragiczne – (przy tym słowie zecer wzdrygnął się i

otworzył usta jakby do okrzyku, opanował się jednak i powrócił z rezygnacją do swojej uprzedniej postawy) – lecz jest naszym losem i musi być naszym dążeniem, nieprawdaż, przyjmować to, co konieczne i co nieuchronnie się dokonuje, choćby było najsmutniejsze. Jak już wcześniej panu mówiłem: pięknie jest dochowywać pewnej wierności minionemu i w pańskim przypadku mogę tę wierność nie tylko zrozumieć, ale muszę ją podziwiać. Ale trzymanie się *rzecTy* i stanów skazanych na zagładę musi mieć swoje granice; samo życie nam te granice wyznacza, a kiedy poza nie wychodzimy, kiedy zbyt kurczowo czepiamy się starego, popadamy w sprzeczność z życiem, które jest od nas silniejsze. Bardzo dobrze pana rozumiem, niech mi pan wierzy. Pan, który jest znany jako wspaniały mistrz tamtego języka, tamtej odziedziczonej pięknej tradycji, pan, były poeta, musi oczywiście bardziej cierpieć z powodu stanu rozkładu czy transformacji, w jakim znajduje się nasz język i cała nasza dawna kultura. To, że musi pan jako zecer codziennie przyglądać się temu rozkładowi, a nawet w nim uczestniczyć i poniekąd się do niego przykladać, ma w sobie jakąś gorycz, coś z trag... – (przy tych słowach Johannes znowu się wzdrygnął, co sprawiło, że redaktor mimowolnie poszukał innego słowa) – ma w sobie coś z ironii losu. Lecz ja czy ktokolwiek inny mogę tutaj poradzić równie mało jak pan. Musimy pozwolić sprawom toczyć się swym biegiem i dostosowywać się do nich.

Redaktor przyglądał się z sympatią dziecięcej i zarazem zatroskanej twarzy zecera. To prawda, że ci stopniowo wymierający przedstawiciele starego świata, przedmodernistycznej, tak zwanej „sentymentalnej” epoki, mieli coś w sobie, byli miłymi ludźmi, pomimo swego przewrażliwienia. Dobrotliwym tonem kontynuował:

– Wie pan, drogi przyjacielu, że przed około dwudziestu laty zostały wydrukowane w naszym kraju ostatnie poezje, po części jeszcze w postaci książek, co oczywiście już wtedy było wielką rzadkością, a po części w literackich działach gazet. Potem, właściwie całkiem nagle, wszyscy zrozumieliśmy, że z tymi poezjami coś jest nie tak, że są zbyt techniczne, a właściwie nawet głupie. Zauważyliśmy wówczas coś, coś sobie uświadomiliśmy – co po cichu już dawno się dokonało, a teraz jawiło się nam jako rozpoznany fakt: że czas sztuki przeminął, że sztuka i poezja w naszym świecie obumarły i że lepiej będzie całkowicie się z nimi rozstać niż je, choć już przecież są martwe, dalej wlec ze sobą. Dla nas wszystkich, również dla mnie, była to wówczas bardzo gorzka konstatacja. A jednak mieliśmy wówczas rację, że postąpiliśmy zgodnie z nią. Kto chce czytać Goethego czy podobne rzeczy, może to czynić jak uprzednio, nic przez to nie traci, że co dzień nie przyrasta już góra nowej, wątłej, anemicznej poezji. Wszyscy się z tym pogodziliśmy. Również pan to uczynił, Johannesie, porzucając wówczas swój pisarski zawód i znajdując sobie zwykłą, zapewniającą

utrzymanie pracę. A jeśli dziś w pańskim wieku nazbyt pan z tego powodu cierpi, że jako zecer tak często popada pan 6w konflikt z nadal świętą dla pana tradycją i kulturą języka, to, drogi przyjacielu, mam dla pana propozycję: niech pan zrezygnuje z tej mozolnej i mało wdzięcznej pracy! Niech pan poczeka i pozwoli mi skończyć! Boi się pan, że utraci źródło utrzymania? Ależ nie, musielibyśmy być barbarzyńcami! Nie, o głodowaniu nie może być mowy. Jest pan ubezpieczony na starość, a niezależnie od tego nasza firma – daję panu moje słowo – zapewni panu dożywotnią emeryturę, tak że nadal będzie pan mógł być pewien takiego samego dochodu, jaki ma pan teraz. – Był z siebie zadowolony. Rozwiązanie z przeniesieniem na emeryturę przyszło mu do głowy dopiero w trakcie mówienia. – No, i cóż pan na to? – zapytał z uśmiechem.

Johannes nie był w stanie od razu odpowiedzieć. Podczas ostatnich słów łaskawego pryncypała jego stara, a zarazem dziecięca twarz przybrała wyraz strasznego lęku, zwiędłe wargi zupełnie pobladły, oczy spoglądały nieruchomo i bezradnie. Jedynie z trudem się opanował. Szef przyglądał mu się rozczarowany. I wtedy starzec zaczął mówić, mówił bardzo cicho, lecz z ogromną, trwożną intensywnością, namiętnie usiłując we właściwy, przekonujący i nieodparty sposób przedstawić swoją sprawę. Na jego czole i policzkach pojawiały się i znikwały małe czerwone plamki, oczy i przechylona głowa upraszały o wysłuchanie, pomarszczona, chuda szyja wyciągała się błagalnie i gorliwie z szerokiego kołnierzyka koszuli. Johannes mówił:

– Panie redaktorze naczelny, niech mi pan wybaczy, że się panu naprzykrzałem! To się nigdy więcej nie powtórzy, nigdy. Uczyniłem to w dobrej sprawie, ale rozumiem, że jestem w ten sposób dla pana uciążliwy. Rozumiem także, że nie może mi pan pomóc, że koła toczą się po nas wszystkich. Ale na miłość boską, niech mi pan nie odbiera mojej pracy! Uspokaja mnie pan, że nie będę musiał głodować – ależ tego nigdy się nie obawiałem! Chętnie będę pracował nawet za niższe wynagrodzenie, moja wydajność nie jest już przecież zbyt wielka. Ale niech mi pan pozostawi moją pracę, niech mi pan pozostawi moją służbę, bo inaczej mnie pan zabije! – I zupełnie cicho, z rozpalonymi oczami, ochryply i spięty, kontynuował: – Nie mam przecież nic poza tą służbą, to wszak jedyna rzecz, dla jakiej z chęcią żyję! Ach, panie doktorze, jak mógł mi pan złożyć tę straszną propozycję? Pan, jedyny człowiek, który mnie jeszcze zna, który jeszcze wie, kim kiedyś byłem!

Redaktor usiłował uśmierzyć niepokojące wzburzenie mężczyzny, kilkakrotnie klepiąc go z życzliwym pomrukiem po plecach. Johannes, nieuspokojony, a jednak wyczuwając życzliwość tamtego i jego współczucie, po krótkiej przerwie znowu zaczął mówić:

– Panie redaktorze naczelny, wiem, że kiedyś, w najwcześniejszej młodości, czytywał pan książki Nietzschego. Cóż, ja również go czytywałem. Mając siedemnaście lat, pewnego wieczoru w moim ukochanym uczniowskim pokoju na poddaszu doszedłem przy lekturze *Zaratustry* do owych stron, na których znajduje się *Pieśń nocy*. Nigdy przez bez mała sześćdziesiąt lat nie zapomniałem tamtej godziny, kiedy po raz pierwszy przeczytałem słowa: „Nastała noc, głośniejsze przemawiają teraz wszystkie źródła bijące...”! Bo właśnie w tamtej godzinie moje życie nabrało sensu, rozpocząłem służbę, którą jeszcze dziś pełnię, w tamtej godzinie ukazał mi się jak w świetle błyskawicy cud języka, niewymowny czar słów; oślepiiony patrzyłem w nieśmiertelne oko, czułem boską obecność i oddałem się jej jako mojemu przeznaczeniu, mojej miłości, mojemu szczęściu i mojej zgubie. Czytałem później innych poetów, odnalazłem jeszcze szlachetniejsze, jeszcze świętsze słowa niż tamta *Pieśń nocy*, odnalazłem, jak przyciągnięty magnesem, naszych wielkich poetów, których nikt już nie zna, znalazłem słodkiego jak sen i ciężkiego jak sen Novalisa, którego magiczne słowa smakują wszystkie jakby winem i krwią, i ognistego młodego Goethego, a także starego z tajemniczym uśmiechem, znalazłem mrocznego i pośpiesznego, ciężko dyszącego Kleista, pijanego Brentana, szybkiego, rozedrganego Hoffmanna, urokliwego Mörikego, powolnego, pieczołowitego Stiftera i wszystkich, wszystkich wspaniałych: Jean Paula! Arnima! Büchnera! Eichendorffa! Heinego! Ich się trzymałem, stać się ich młodszym bratem było moim pragnieniem, chleptać ich język – moim sakramentem, wyniosły, święty las tej poezji był moją świątynią. Żyłem w ich świecie, przez pewien czas uważałem nawet, że im dorównuję, do głębi poznałem cudowną rozkosz mierzwienia podatnej materii słów, jak wiatr mierzwi delikatne letnie listowie, wydobywania dźwięku ze słów, wprawiania je w taniec, sprawiania, by szeleściły, trzęsły się, trzaskały, śpiewały, krzyczały, drżały z zimna, dygotały, drgały, drętwiały. Znaleźli się ludzie, którzy rozpoznali we mnie poetę, w których sercach moje melodie mieszkały niczym w harfach. No, ale dość już o tym, wystarczy. Nadszedł ów czas, o którym i pan uprzednio łaskaw był wspomnieć, ów czas, w którym całe nasze pokolenie odwróciło się od poezji, kiedy my wszyscy jak w jesiennym przypiływie dreszczy uczuliśmy, że teraz drzwi świątyni są zatrzaśnięte, teraz nastał wieczór i święte gaje poezji są mroczne, nikt ze współczesnych nie odnajduje czarodziejskich ścieżek do boskiego wnętrza. Wszystko umilkło, zagubiliśmy się cicho, my, poeci, w wyzbytej złudzeń krainie, w której zmarł wielki bóg Pan.

Redaktor rozprostował ramiona z uczuciem głębokiego zakłopotania, z pełnym rozterki, dręczącym uczuciem. Dokąd zabłąkał się ten biedny starzec?! Rzucił na niego ukradkowe spojrzenie, z którego można było wyczytać: „No, dajże już z tym spokój, wiemy to przecież!” Ale Johannes jeszcze nie skończył.

Wówczas – cicho i z napięciem mówił dalej wówczas pożegnałem się z poezją, której serce już nie biło. Przez pewien czas wegetowałem, pogrążony w paraliżu i bezmyślności, aż uszczuplenie, a w końcu zupełne wyczerpanie się zwykłych dochodów z moich dzieł zmusiło mnie do poszukania sobie innego źródła utrzymania. Zostałem zecerem, ponieważ przypadkiem nauczyłem się kiedyś tego zawodu jako wolontariusz u pewnego wydawcy. I nie żałowałem, chociaż to rzemiosło w pierwszych latach gorzko mi smakowało. Znalazłem w nim jednak to, czego szukałem, czego potrzebuje każdy człowiek do życia: zadanie, sens mojego istnienia. Czcigodny panie, również zecer posługuje w świątyni języka, również jego rzemiosło przynależy do służby słowu. Dziś, kiedy jestem starym człowiekiem, mogę panu wyznać: przez lata w artykułach wstępnych, w dziale kulturalnym, w sprawozdaniach parlamentarnych i sądowych, w wiadomościach lokalnych i ogłoszeniach poprawiłem w milczeniu wiele tysięcy, dziesiątki tysięcy błędów językowych, poskładałem na nowo i postawiłem na nogi wiele tysięcy źle zbudowanych zdań. O, jakąż mi to sprawiało radość! Jakie to było piękne, kiedy po niewielu magicznych skreśleniach i ingerencjach z pośpiesznie podyktowanego tekstu przemęczonego redaktora, z okaleczonego cytatu niedokształconego mówcy parlamentarnego, ze zdeformowanej, dotkniętej paraliżem składni reportera umiłowany język znowu spoglądał na mnie z niezdeformowanym, zdrowym obliczem! Lecz z czasem stawało się to coraz trudniejsze, różnica między moim językiem a modnym językiem literackim powiększała się, rysy w budowie były coraz szersze. Artykuł wstępny, który przed dwudziestu laty mogłem jako tako uleczyć dziesięcioma, dwunastoma drobnymi retuszami, wymagałby dzisiaj setki albo tysiąca poprawek, by w moim pojęciu nadawać się do czytania. Już nie można było tego zrobić, coraz częściej musiałem rezygnować. No więc, jak pan widzi, ja również nie jestem tak zupełnie skostniały i zacofany, ja również uczę się ustępstw i niestawiania oporu wielkiemu złu.

Ale jest jeszcze to drugie, to, co wcześniej nazywałem moją „małą” służbą, a co od dawna stało się moją służbą jedyną. Niech pan porówna, panie doktorze, złożoną przeze mnie szpalnę ze szpalną dowolnej innej gazety, a różnica sama rzuci się panu w oczy. Dzisiejsi zecerzy, wszyscy bez wyjątku, już dawno dopasowali się do zepsucia języka, a nawet wręcz wspierają je i przyśpieszają. Prawie żaden z nich nie wie już, że istnieje subtelne i tkliwe prawo, niepisane artystyczne prawo, wedle którego tutaj musi stać przecinek, tutaj dwukropek, a tutaj średnik. A w jak okropny, wręcz morderczy sposób traktowane są, i to już w napisanych na maszynie manuskryptach, a potem przez zecerów, te słowa, które znajdują się na końcu wiersza i mają niezawinionego przez siebie pecha, że są za długie i muszą zostać podzielone na dwie części! To straszne. W naszej

własnej gazecie napotykałem, a z latami wciąż ich przybywało, setki tysięcy takich nieszczęsnych słów, uduszonych, błędnie podzielonych, rozszarpanych i pohańbionych słów: „okoliczności”, „rozważania”, a kiedyś nawet zdarzył się „zakamarek”! Tutaj właśnie jest pole dla mnie, tutaj jeszcze dzisiaj mogę toczyć codzienną walkę, czynić dobro w czymś małym. A nie wie pan, nie podejrzewa pan nawet, jakie to jest piękne, jakie dobre, z jaką wdzięcznością słowo uwolnione z lawy katowskiej czy zdanie rozjaśnione przez prawidłową interpunkcję spogląda na zecera! Nie, niech pan nigdy więcej nie żąda ode mnie, proszę, bym to wszystko porzucił i zostawił na pastwę losu!

Redaktor, chociaż znał Johannesesa od kilkadziesiąt lat, nigdy nie słyszał go mówiącego z takim przejęciem i tak osobiście, i chociaż bronił się wewnętrznie przed dziwactwem i przesadą tej przemowy oraz narzucał sobie chłód, wyczuwał jednak również pewną drobną, tajemną wartość zawartą w tym wyznaniu. Nie umykało również jego uwagi, jak cenna jest mimo wszystko u zecera tak tkliwa sumienność i radość z pracy. Jego mądra twarz na nowo przybrała przyjazny wyraz i rzekł:

– No cóż, Johannesie, już dawno mnie pan przekonał. W tej sytuacji naturalnie wycofuję swoją propozycję, uczynioną zresztą w dobrej wierze. Niech pan nadal składa i pozostaje na swojej służbie! A jeśli kiedyś będę mógł wyświadczyć panu jakąś małą przysługę, niech mi pan powie. – Podniósł się i wyciągnął do zecera rękę, przekonany, że teraz już wreszcie sobie pójdzie.

Lecz Johannes, z gorliwością pochwytną podaną mu dłoń, na nowo otworzył serce, mówiąc: – Z głębi serca dziękuję, panie redaktorze naczelny, jakże jest pan dobry! Ach, miałbym właściwie pewną prośbę, małą prośbę. Gdyby zechciał mi pan w tej sprawie odrobinę pomóc!

Nie zajmując ponownie miejsca, redaktor nieco zniecierpliwionym spojrzeniem dał mu znak, by mówił.

– Chodzi – rzekł Johannes – chodzi znowu o słowo „tragiczny”, panie doktorze, wie pan przecież, rozmawialiśmy o tym nieraz. Zna pan wszak naganny zwyczaj sprawozdawców nazywania każdego nieszczęśliwego wypadku „tragicznym”, podczas gdy przecież tragiczny... no, ale muszę się streszczać, dosyć o tym. No więc każdy przewrócony rowerzysta, każde poparzone przy palenisku dziecko, każdy upadek z drabiny zrywacza czereśni jest określany zbezczeszczonym słowem „tragiczny”. Naszego poprzedniego reportera niemalże od tego odzwyczaiłem, nie dawałem mu spokoju, co tydzień go odwiedzałem, a on był porządnym człowiekiem, śmiał się i często ustępował, być może nawet rozumiał, przynajmniej częściowo, o co mi chodziło. Ale ten nowy pan redaktor

od drobnych wiadomości – nie chcę zresztą pod żadnym innym względem go oceniać, ale wcale nie przesadzam, kiedy mówię, że każda przejechana kura stanowi dla niego dogodny powód do nadużywania tego świętego słowa. Gdyby zechciał mi pan stworzyć sposobność odbycia z nim poważnej rozmowy, poproszenia go, żeby przynajmniej raz porządnie mnie wysłuchał...

Redaktor podszedł do tablicy rozdzielczej, nacisnął klawisz i powiedział kilka słów do mikrofonu.

– Pan Stettiner będzie o drugiej i poświęci panu kilka minut. Jeszcze go poinformuję. Ale niech się pan streszcza, będąc u niego!

Stary zecer pożegnał się z wdzięcznością. Redaktor widział, jak wychodzi chyłkiem przez drzwi, widział rzadkie białe włosy, opadające na stary, śmieszny sukieny surdut, widział zgarbione plecy wiernego sługi i nie żałował już, że nie udało mu się skusić staruszka do przejścia w stan spoczynku. Niech zostanie! Niech nadal raz lub dwa razy w roku powtarza te audiencje! Nie gniewał się na niego. Bardzo dobrze potrafił się w niego wczuć. Tego właśnie nie umiał jednak pan Stettiner, u którego Johannes zjawiał się o godzinie drugiej i którego zresztą szef w natłoku zajęć zapomniał powiadomić.

Pan Stettiner, nadzwyczaj przydatny młody współpracownik gazety, który szybko awansował z lokalnego sprawozdawcy na członka redakcji, nie był potworem, a jako reporter nauczył się postępować z ludźmi wszelkiego pokroju. Jedyne wobec zjawiska imieniem Johannes ów znawca był zupełnie nieswój i bezradny, w istocie nie wiedział ani nie podejrzewał nawet, że istnieje, czy też istniała, taka odmiana ludzi. Jako redaktor, co całkiem zrozumiałe, nie czuł się zresztą bynajmniej w obowiązku przyjmować rad i pouczeń od zecera, choćby ten miał nawet sto lat i gdyby nawet wcześniej, w sentymentalnej epoce, był sławą, a nawet samym Arystotelesem. Zdarzyło się więc nieuniknione: po kilku minutach Johannes, odprowadzony pośpiesznie do drzwi przez poczerwieniałego i rozgniewanego pana, musiał opuścić jego biuro. Ponadto zdarzyło się, że w pół godziny później stary Johannes, po złożeniu w zecerni ćwierci szpalty pełnej niesłychanych błędów, skulił się z kwilącym jękiem skargi nad manuskrypcem i po godzinie już nie żył.

Ludzie w zecerni, tak nagle pozbawieni swego seniora, poszeptawszy chwilę, uzgodnili, że ufundują mu wieniec na trumnę. Panu Stettinerowi przypadło natomiast zadanie doniesienia w krótkiej notatce o zgonie, gdyż Johannes przed trzydziestu czy czterdziestu laty był bądź co bądź swego rodzaju sławą.

Napisał: „Tragiczny koniec poety” – potem przyszło mu do głowy, że Johannes był uczulony na słowo „tragiczny”, a osobliwa postać starca i jego

nagła śmierć po ich rozmowie zrobiła na nim mimo wszystko tak duże wrażenie, że czuł się w obowiązku choćby w niewielkim stopniu uczcić pamięć zmarłego. Z tym uczuciem przekreślił zatem nagłówek swej notatki i zastąpił go słowami „Ubolewania godny zgon”, ale nagle to również wydało mu się niewystarczające i płytkie, zirytował się, po czym znowu się opanował i już ostatecznie zapisał nad swoją notatką słowa: „Jeden ze starej gwardii”.

Dzieciństwo czarodzieja

Wciąż na nowo wchodzę
Do twojej studni, miła baśni sprzed lat,
Słyszę w oddali twe złociste pieśni,
Jak się śmiejesz, jak marzysz, jak cicho szlochasz.
Niczym przestroga z twojej głębi
Szepcze zakłęcie;
Zda mi się, że jest pijany i śpię,
A ty wołasz mnie wciąż dalej i dalej...

Wychowywali mnie nie tylko rodzice i nauczyciele, lecz również wyższe, bardziej ukryte i tajemne moce, wśród których znajdował się także bóg Pan, stojący w oszklonej szafce mego dziadka w postaci małego, tańczącego hinduskiego bożka. To bóstwo, a także inne, zajęły się moimi latami dziecięcymi i na długo przedtem, zanim nauczyłem się czytać i pisać, tak wypełniły mnie wschodnimi, prastarymi obrazami i myślami, że później każde zetknięcie z hinduskimi czy chińskimi mędrkami odczuwałem jako ponowne spotkanie, jako powrót do domu. A jednak jestem Europejczykiem, urodziłem się nawet pod aktywnym znakiem Strzelca i przez całe życie dzielnie praktykowałem zachodnie cnoty gwałtowności, pożądlivosti i nienasyconej ciekawości. Na szczęście, jak większość dzieci, jeszcze przed rozpoczęciem lat szkolnych posiadałem wiedzę o tym, co dla życia niezbędne i najcenniejsze, nauczony przez jabłonie, przez deszcz i słońce, rzekę i lasy, pszczoły i chrząszcze, nauczony przez boga Pana, nauczony przez tańczącego bożka ze skarbnicy mego dziadka. Orientowałem się w świecie, obcowałem bez lęku ze zwierzętami i gwiazdami, byłem obeznany z sadem i z rybami w wodzie oraz potrafiłem już śpiewać sporą liczbę pieśni. Potrafiłem również czarować, czego niestety szybko się później oduczyłem i dopiero w podeszłym wieku na nowo musiałem się uczyć, oraz rozporządzałem całą bajeczną mądrością dzieciństwa.

Do tego doszły teraz zatem nauki szkolne, które przychodziły mi z łatwością i bawiły mnie. Szkoła roztropnie nie zajmowała się owymi poważnymi umiejętnościami, które są dla życia nieodzowne, lecz głównie płochymi i miłymi rozrywkami, w których często znajdowałem przyjemność, oraz wpajaniem wiadomości, z których niejedna pozostała mi na całe życie; i tak znam dziś jeszcze wiele pięknych i dowcipnych łacińskich słów, wierszy i sentencji, jak

również liczbę mieszkańców wielu miast we wszystkich częściach świata, oczywiście nie dzisiejszą, lecz tę z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Aż do trzynastego roku życia nigdy poważnie nie zastanawiałem się nad tym, kim mógłbym kiedyś zostać i jakiego zawodu mógłbym się wyuczyć. Jak we wszystkich chłopcach, niektóre zawody budziły we mnie uwielbienie i zazdrość: myśliwy, flisak, woźnica, linoskoczek, podróżnik polarny. Zdecydowanie najchętniej zostałbym jednak czarodziejem. W tę stronę zwracały się moje najgłębsze, najmocniej odczuwane skłonności, wywołane zapewne niezadowolaniem z tego, co nazywano „rzeczywistością”, a co w owym czasie wydawało mi się jedynie głupią umową dorosłych; na wpół trwożliwe, na wpół szydercze odrzucenie tej rzeczywistości wcześniej dało u mnie znać o sobie, wraz z palącym pragnieniem zaczarowania jej, przekształcenia i wywyższenia. W dzieciństwie to pragnienie czarów zwracało się w stronę zewnętrznych, dziecinnych celów: chciałem, żeby w zimie rosły jabłka, a mój mieszek mocą czarów wypełniał się złotem i srebrem; marzyłem o tym, by porażać moich wrogów magicznym urokiem, a potem zawstydząć wielkodusznością i być obwoływanym zwycięzcą oraz królem; chciałem wydobywać zakopane skarby, wskrzeszać umarłych i umieć stawać się niewidzialnym. To ostatnie zwłaszcza, stawanie się niewidzialnym, było zdolnością, którą bardzo wysoko cenilem i najgoręcej pragnąłem osiąść. Życzenie to, podobnie jak pragnienie wszystkich innych czarodziejskich mocy, towarzyszyło mi przez całe życie w wielu przemianach, które sam często nie od razu rozpoznawałem. I tak wielokroć przydarzało mi się później, kiedy już dawno byłem dorosły i wykonywałem zawód literata, że podejmowałem próbę zniknięcia za swoimi utworami, zmiany tożsamości i ukrycia za wieloznacznymi, wymyślanymi dla zabawy pseudonimami. Co osobliwe, moi koledzy po piórze często brali mi te próby za złe i fałszywie je interpretowali. Spoglądając wstecz, widzę, że całe moje życie stało pod znakiem owego pragnienia czarodziejskiej mocy; jak cele owych czarodziejskich pragnień zmieniały się z czasem, jak stopniowo wyprowadzałem je z zewnętrznego świata i wchłaniałem w siebie, jak stopniowo zmierzałem ku temu, by przemieniać już nie przedmioty, lecz samego siebie, jak nauczyłem się dążyć do tego, by trywialną niewidzialność pod czapką niewidką zamienić na niewidzialność mędrca, który sam poznając, wciąż pozostaje niepoznany – to stanowiłoby prawdziwą treść historii mojego życia.

Byłem żywym i szczęśliwym chłopcem, igrającym z pięknym kolorowym światem, wszędzie czującym się u siebie, zarówno wśród zwierząt i roślin, jak i w dziewiczym lesie mojej własnej fantazji i marzeń, radującym się ze swoich sił i zdolności, bardziej uszczęśliwionym żarliwymi pragnieniami niż utrapionym przez nie. Uprawiałem wówczas niejedną czarodziejską sztukę, nawet tego nie

wiedząc, o wiele doskonalej, niż udawało mi się to kiedykolwiek później. Łatwo zjednywałem sobie miłość, łatwo uzyskiwałem wpływ na innych, łatwo odnajdywałem się w roli wodzireja albo obiektu cudzych zabiegów, czy też kogoś owianego tajemnicą. Młodszych kolegów i krewnych latami utrzymywałem w nabożnej wierze w moją rzeczywistą moc czarodziejską, władzę nad demonami, prawo do ukrytych skarbów i koron. Długo mieszkalem w raju, chociaż moi rodzice wcześniej zapoznali mnie z wężem. Długo trwał mój dziecięcy sen, świat należał do mnie, istniała tylko teraźniejszość, wszystko wokół mnie było przygotowane do pięknej gry. Jeśli budziło się we mnie jakieś niezadowolenie i tęsknota, jeśli czasem radosny świat wydawał mi się okryty cieniem i niepokojący, wówczas zwykle z łatwością znajdowałem drogę do drugiego, swobodniejszego, niestawiającego oporu świata fantazji i wracając z niego, zastawiałem świat zewnętrzny na nowo uroczy i godny miłości. Długo żyłem w raju.

W małym ogrodzie mojego ojca znajdowała się zbita z desek szopa, w której trzymałem króliki i oswojonego kruka. Spędzałem tam nieskończone godziny, długie jak ziemskie eony, pławiąc się w ciepłe i rozkoszy posiadania – króliki pachniały życiem, pachniały trawą i mlekiem, krwią i prokreacją, a w szklistym oku kruka świeciła lampa wiecznego życia. W tym samym miejscu spędzałem inne nieskończone chwile, wieczorem, przy płonącym ogarku świecy, obok ciepłych, śpiących zwierząt, sam albo z kolegą, snując plany odkopania ogromnych skarbów, zdobycia korzenia mandragory i zwycięskich wypraw rycerskich przez potrzebujący wybawienia świat, podczas których osądzałem zbójców i wybawiałem nieszczęśliwych, oswobadzałem uwiecznionych, paliłem zbójckie zamki, kazałem przybijać do krzyża zdrajców, przebaczałem wiarołomnym wasalom, zdobywałem królewskie córki i rozumiałem mowę zwierząt.

W wielkiej bibliotece mojego dziadka znajdowała się ogromna, ciężka księga, którą często przeglądałem i czytałem. Ta niewyczerpana księga zawierała stare, osobliwe obrazki – często ukazywały się one człowiekowi wyraziste i zapraszające zaraz po otwarciu i prze kartkowaniu, często jednak szukało się ich długo i nie znajdowało, znikwały, były zaczarowane, jakby nigdy nie istniały. W książce tej znajdowała się pewna historia, nieskończenie piękna i niezrozumiała, którą wielokrotnie czytałem. Również ona nie zawsze dawała się odnaleźć, pora musiała być sprzyjająca; często opowieść zupełnie znikła i pozostawała w ukryciu, często wydawało się, że zmieniła miejsce zamieszkania i usytuowanie, nieraz w trakcie lektury była osobliwie przyjazna i nieomal zrozumiała, kiedy indziej zupełnie mroczna i zamknięta jak drzwi na strychu, za którymi o zmierzchu można było czasem usłyszeć chichoczące i pojękujące duchy.

Wszystko tchnęło rzeczywistością, a jednocześnie wypełnione było czarami, obydwa te światy trwały zażyłe obok siebie i obydwa do mnie należały.

Również tańczący bożek z Indii, który stał w pełnej skarbów oszklonej szafie dziadka, nie zawsze był tym samym bożkiem, nie zawsze miał to samo oblicze, nie o każdej godzinie tańczył ten sam taniec. Czasami był bożkiem, osobliwą i trochę śmieszna figurką, jakie w obcych, niepojętych krajach wykonywały i czciły inne, obce i niepojęte narody. Kiedy indziej był czarodziejską postacią, pełną znaczenia i przejmującą niewymowną zgrozą, żądną ofiar, złośliwą, surową, niegodną zaufania i szyderczą – zdawał się mnie zachęcać, bym śmiał się z niego, żeby potem móc się na mnie zemścić. Potrafił zmieniać spojrzenie, chociaż był wykonany z żółtego metalu; czasami spoglądał zezem. Kiedy indziej jeszcze stanowił wyłącznie symbol, nie był ani brzydki, ani piękny, ani zły, ani dobry, ani śmieszny, ani straszny, lecz zwyczajny, stary i nieprzenikniony, jak znak runiczny, jak kępka mchu na skale, jak rysunek na krzemieniu, a poza jego formą, poza jego obliczem i wizerunkiem mieszka! bóg, istniało Nieskończone, które wówczas, jako chłopiec, choć nie miało imienia, czciłem i znałem nie mniej niż później, kiedy nazywałem je Sziwą, Wisznu czy też Bogiem, życiem, Brahmanem, Atmanem, Tao albo wieczną Matką. Było ono ojcem, było matką, było kobietą i mężczyzną, Słońcem i Księżycem.

A w pobliżu bożka w oszklonej szafie i w innych szafach dziadka stało, wisiało i leżało jeszcze wiele innych istot i sprzętów, łańcuchy z drewnianych koralu przypominające różańce, zwoje liści palmowych zapisane starym rytowanym pismem indyjskim, żółwie wyrżnięte z zielonego steatytu, małe posążki bogów z drewna, ze szkła, z kwarcu i z gliny, haftowane jedwabne i płócienne okrycia, mosiężne puchary i czarki, a wszystko to pochodziło z Indii i Cejlonu, rajskiej wyspy z drzewami paprociowymi, palmowym wybrzeżem i łagodnymi Syngalezami o sarnich oczach, pochodziło z Syjamu i Birmy, i wszystko pachniało morzem, korzeniami i dalekimi krainami, cynamonem i drewnem sandałowym, wszystko przeszło przez brązowe i żółte ręce, zostało zwilżone tropikalnymi deszczami i wodą Gangesu, wysuszone na równikowym słońcu, ocienione dziewiczym lasem. I wszystkie te rzeczy należały do dziadka, a on, stary, czcigodny i mocarny, z białą szeroką brodą, wszystkowiedzący, potężniejszy od ojca i matki, był w posiadaniu jeszcze zupełnie innych rzeczy i mocy, należały do niego nie tylko hinduskie bożki i zabawki, wszystkie te wyrzeźbione, namalowane i wyświęcone czarami rzeczy, puchary z orzechów kokosowych i skrzynie z drewna sandałowego, hol i biblioteka, był on również magiem, wiedzącym, mędrcom. Rozumiał wszystkie języki ludzkości, ponad trzydzieści, być może również mowę bogów, być może również gwiazd, potrafił pisać i mówić w sanskrycie i pali, potrafił śpiewać kanaryjskie, bengalskie, hindu-

stańskie i syngaleskie pieśni, znał modlitewne rytuały mahometan i buddystów, chociaż był chrześcijaninem i wierzył w trójjedynego Boga, przez wiele lat i dziesięcioleci przebywał we wschodnich, gorących, niebezpiecznych krajach, podróżował łodziami i zaprzężonymi w woły wozami, konno i na mułach, nikt nie wiedział tak dobrze jak on, że nasze miasto i nasz kraj stanowiły jedynie bardzo małą część ziemi, że miliard ludzi wyznawało inną wiarę niż my, miało inne zwyczaje, języki, kolory skóry, innych bogów, cnoty i występki. Kochałem, czciłem i bałem się go, oczekiwałem od niego i spodziewałem się po nim wszystkiego, od niego i jego boga Pana przebranego w szatę bożka uczyłem się nieustannie. Ten człowiek, ojciec mojej matki, tkwił w gąszczu tajemnic, podobnie jak jego twarz tkwiła w białym gąszczu brody, z jego oczu płynął smutek świata i płynęła pogodna mądrość, zależnie od okoliczności, samotna wiedza i boska psota, znali go, czcili i odwiedzali ludzie z wielu krajów, rozmawiali z nim po angielsku, francusku, hindusku, włosku, malajsku i po długich rozmowach odjeżdżali, nie pozostawiając po sobie śladu, być może jego przyjaciele, być może jego posłowie, być może jego słudzy i pełnomocnicy. Wiedziałem, że także od niego, niezgłębionego, pochodzi tajemnica, jaka otaczała moją matkę, coś tajemniczego i prastarego. Ona również długo przebywała w Indiach, ona również mówiła i śpiewała po malajsku i kanaryjsku, wymieniała z sędziwym ojcem słowa i sentencje w obcych, magicznych językach. I również na jej twarzy pojawiał się czasem uśmiech z obcych stron, zawołowany uśmiech mądrości.

Mój ojciec był inny. Otaczała go samotność. Nie należał ani do świata bożka i dziadka, ani do codzienności miasta, stał na uboczu, samotny, cierpiący i poszukujący, uczony i dobrotliwy, wyzbyty fałszu i pełen gorliwości w służbie prawdy, lecz bardzo oddalony od tamtego uśmiechu, szlachetny i łagodny, lecz jasny, bez owej tajemnicy. Nigdy nie opuszczała go dobroć ani mądrość, ale nigdy też nie znikał w tej czarodziejskiej chmurze, jaka otaczała dziadka, nigdy jego twarz nie zatracala się w tym dziecięctwie i boskości, których gra często wyglądała jak smutek, często jak subtelna kpina, a często jak milcząco pogrążona w sobie maska bogów. Mój ojciec nie rozmawiał z matką w językach indyjskich, lecz po angielsku i w czystej, klarownej, pięknej niemczyźnie z bałtyckimi naleciałościami. Tym językiem przyciągał mnie i zdobywał, w nim mnie nauczał, czasami pełen podziwu i gorliwości starałem się mu dorównać, nazbyt gorliwie, chociaż widziałem, że moje korzenie głębiej rosną w matczynej glebie, w czymś ciemnookim i tajemniczym. Matka wypełniona była muzyką, ojciec nie, nie potrafił śpiewać.

Obok mnie wzrastały siostry i dwaj starsi bracia, duzi bracia, którym zazdrościłem i których podziwiałem. Wokół nas rozciągało się miasteczko, stare i

garbate, a wokół niego lesiste góry, surowe i nieco posępne, przez środek zaś płynęła piękna rzeka, kręta i powolna. Wszystko to kochałem i nazywałem ojczyzną, a w lesie i rzece dobrze znałem rośliny i ziemię, skały i jaskinie, ptaki, wiewiórki, lisy i ryby. Wszystko to do mnie należało, było moje, było ojczyzną – ale poza tym była oszklona szafa i biblioteka, dobrotliwa ironia na wszystkowiedzącej twarzy dziadka, ciemne i ciepłe spojrzenie matki, żółwie i bożki, indyjskie pieśni i sentencje, i rzeczy te mówiły mi o dalszym świecie, większej ojczyźnie, starszym pochodzeniu, szerszym kontekście. A na swojej wysokiej drucianej klatce siedziała nasza szaro-czerwona papuga, stara i mądra, z uczonym obliczem i ostrym dziobem, śpiewała i gadała, i również ona pochodziła z dalekiego, nieznanego świata, skrzeczała językami dżungli i pachniała równikiem. Wiele światów, wiele części ziemi wyciągało ramiona i słało promienie, które spotykały i krzyżowały się w naszym domu. A dom ten był duży i stary, miał wiele, po części pustych, pomieszczeń, piwnic i długich, akustycznych korytarzy, pachnących kamieniem i chłodem, oraz nieskończone strychy, pełne drewna i owoców, przeciągów i mrocznej pustki. Wiele światów krzyżowało swe promienie w tym domu. Tutaj modlono się i czytano Biblię, tutaj studiowano i uprawiano indyjską filologię, tutaj grano wiele dobrej muzyki, tutaj wiedziano o Buddzie i Lao Tse, goście przybywali z wielu krajów, z nalotem obczyzny i zagranicy na ubraniach, z osobliwymi kuframi ze skóry i plecionego łyka oraz dźwiękiem obcych języków, karmiono tutaj ubogich i obchodzono święta, nauka i bajka mieszkwały blisko siebie. Była też babka, której trochę baliśmy się i którą małośmy znali, ponieważ nie mówiła po niemiecku i czytywała francuską Biblię. Urozmaicone i nie we wszystkim zrozumiałe było życie tego domu, światło mieniło się tutaj wieloma barwami, bogato i wielogłosowo rozbrzmiewało życie. Było piękne i podobało mi się, lecz jeszcze piękniejszy był świat moich marzeń, jeszcze bogaciej mieniły się moje sny na jawie. Rzeczywistość nigdy mi nie wystarczała, konieczne były czary.

Magia zdomowiała się w naszym domu i w moim życiu. Poza szafami dziadka istniały jeszcze te mojej matki, pełne azjatyckich tkanin, sukni i woalek, magiczne było również zezowanie bożka oraz tajemniczy zapach niejednego starego pokoiku i zakątka schodów. A wiele w moim wnętrzu odpowiadało tej ze wnętrzości. Niektóre rzeczy i ich związki istniały tylko we mnie samym i jedynie dla mnie. Nic nie było tak tajemnicze, tak trudne do przekazania, tak oderwane od codziennej rzeczywistości jak one, a jednak nic nie było równie prawdziwe. Już choćby kapryśne pojawianie się i ponowne chowanie obrazków i opowieści w owej wielkiej księdze było takie, a także przemiany w wyglądzie przedmiotów, jakie obserwowałem każdej godziny. Jak bardzo odmiennie wyglądały drzwi do domu, ogrodowa altana i ulica w niedzielny wieczór i w poniedziałkowy poranek!

Jakże zupełnie odmienne oblicze ukazywał zegar ścienny i obraz Chrystusa w bawialni w dniu, kiedy władał tam duch dziadka, oraz wówczas gdy był to duch ojca, i jak bardzo przeobrażało się wszystko na nowo w godzinach, kiedy w ogóle żaden obcy duch nie odciskał na rzeczach swego piętna, a jedynie mój własny, kiedy moja dusza igrała z przedmiotami, nadając im nowe nazwy i znaczenia! Dobrze znajome krzesło albo stołek, cień obok pieca, drukowany nagłówek gazety mógł wówczas stawać się piękny albo brzydki i zły, znaczący albo banalny, budzący tęsknotę albo onieśmielający, śmieszny albo smutny. Jak niewiele istniało rzeczy niewzruszonych, stabilnych i trwałych! Jakże wszystko żyło, przeobrażało się, tęskniło za przemianą, leżało przyczajone, czekając na dezintegrację i ponowne narodzenie!

Jednakże ze wszystkich magicznych zjawisk najważniejszym i najwspanialszym był „mały człowieczek”. Nie wiem, kiedy go pierwszy raz ujrzałem, wydaje mi się, że istniał od zawsze, przyszedł na świat wraz ze mną. Mały człowieczek był maleńką, szarą, cieniastą istotą, ludzikiem, duchem albo chochlikiem, aniołem albo demonem, który czasem się pojawiał i podążał przede mną, tak we śnie, jak i na jawie, i któremu musiałem być posłuszny, bardziej niż ojcu, bardziej niż matce, bardziej niż rozumowi, ba, często nawet bardziej niż strachowi. Kiedy ów ludzik mi się ukazywał, istniał tylko on, i dokądkolwiek szedł albo cokolwiek robił, musiałem go naśladować: pojawiał się zaś w momentach zagrożenia. Kiedy gonił mnie zły pies albo rozgniewany większy kolega i moja sytuacja stawała się krytyczna, wówczas w najtrudniejszej chwili zjawiał się mały człowieczek, biegł przede mną, pokazywał mi drogę, przynosił ratunek. Wskazywał mi luźną deskę w płocie ogrodu, przez którą w ostatniej trwożnej chwili mogłem uciec, pokazywał mi, co właśnie należy zrobić: upaść na ziemię, zawrócić, uciec, krzyczeć, milczeć. Wyjmował mi z ręki coś, co chciałem zjeść, prowadził mnie na miejsce, gdzie odnajdywałem zgubione wcześniej przedmioty. Bywały okresy, kiedy widywałem go codziennie. Bywały takie, kiedy się nie zjawiał. Te okresy nie były dobre, wszystko stawało się letnie i niewyraźne, nic się nie działo, nic nie posuwało się naprzód.

Pewnego razu na rynku mały człowieczek biegł przede mną, a ja za nim. Podbiegł do ogromnej fontanny, do której kamiennego zbiornika, głębszego niż wzrost mężczyzny, tryskały cztery strugi wody, wspiał się po kamiennym murze aż na jego ocembrowanie, ja zaś za nim, a kiedy nagłym susem skoczył stamtąd do wody, ja również skoczyłem, nie było wyboru, i niewiele brakowało, żebym się utopił. Nie utopiłem się jednak, lecz zostałem wyciągnięty, i to przez ładną młodą sąsiadkę, której wcześniej prawie nie znałem, teraz zaś nawiązałem z nią piękną, choć nie wolną od czubienia się znajomość, która przez długi czas mnie uszczęśliwiała.

Pewnego razu ojciec kazał mi się opowiedzieć z jakiegoś występku. Wythumaczyłem się jedynie połowicznie, raz jeszcze cierpiąc z tego powodu, że tak trudno znaleźć zrozumienie u dorosłych. Polało się trochę łez i wymierzona została łagodna kara, a na koniec ojciec podarował mi ładny kalendarzyk kieszonkowy, bym nie zapomniał tej godziny. Nieco zawstydzony i wciąż przygnębiony całą sprawą oddaliłem się i szedłem po moście na rzece, gdy nagle wybiegł przede mną mały człowieczek, wskoczył na balustradę mostu i gestem rozkazał mi wyrzucić do rzeki prezent od ojca. Uczyniłem to natychmiast; nie było miejsca na wahania czy wątpliwości, kiedy mały człowieczek znajdował się obok, pojawiały się one jedynie wówczas, kiedy go nie było, kiedy się nie zjawiał i pozostawiał mnie samemu sobie. Pamiętam pewien dzień, kiedy poszedłem z rodzicami na spacer i pojawił się mały człowieczek, przeszedł na lewą stronę ulicy, a ja za nim, i za każdym razem, kiedy ojciec kazał mi wrócić do siebie, na drugą stronę ulicy, mały człowieczek nie przechodził ze mną, z uporem szedł lewą stroną, i za każdym razem musiałem natychmiast do niego wracać. Ojca to zmęczyło i pozwolił mi w końcu iść, którędy chciałem, był urażony i dopiero później, w domu, zapytał mnie, dlaczego byłem nieposłuszny i koniecznie musiałem iść drugą stroną ulicy. W takich wypadkach popadałem w wielkie zakłopotanie, a nawet w utrapienie, bo nic nie było bardziej niemożliwe niż powiedzenie komukolwiek choćby słowa o małym człowieczku. Nic nie byłoby równie występne, złe, śmiertelnie grzeszne jak zdradzenie małego człowieczka, nazwanie go, mówienie o nim. Nie mogłem nawet o nim myśleć ani go przywoływać czy życzyć sobie jego przybycia. Kiedy się pojawiał, było dobrze i podążałem za nim. Kiedy go nie było, wydawało się, jakby nigdy nie istniał. Mały człowieczek nie miał imienia. Rzeczą najbardziej niemożliwą w świecie byłoby jednak nie pójść za małym człowieczkiem, kiedy się pojawił. Dokądkolwiek szedł, szedłem tam za nim, nawet do wody, nawet w ogień. Nie było tak, żeby mi rozkazywał albo doradzał to lub owo. Nie, po prostu coś robił, a ja go naśladowałem. Nienaśladowanie tego, co robił, było równie niemożliwe, jak dla rzucanego przeze mnie cienia niewykonywanie wraz ze mną moich ruchów. Być może byłem jedynie cieniem albo lustrzanym odbiciem małego człowieczka, czy też on moim; być może robiłem to, co wydawało mi się jego naśladowaniem, przed nim albo równocześnie z nim. Tylko że, niestety, nie zawsze się zjawiał, a kiedy go nie było, również temu, co robiłem, brakowało poczucia oczywistości i konieczności, wówczas wszystko mogło być także inaczej, gdyż dla każdego postępków istniała wtedy możliwość działania i zaniechania, wahania, zastanowienia. Wszystkie dobre, radosne i szczęśliwe postęпки mojego ówczesnego życia dokonywane były jednak bez zastanowienia. Królestwo wolności jest być może zarazem królestwem ułudy.

Jakże piękna była moja przyjaźń z wesołą sąsiadką, która wyciągnęła mnie wtedy z fontanny! Była ona pełna życia, młoda i ładna, a także głupia jakąś ujmującą, niemal genialną głupotą. Pozwalała, bym opowiadał jej historie o zbójcach i czarach, wierzyła mi czasem za bardzo, czasem za mało i uważała mnie co najmniej za mędrca ze Wschodu, na co chętnie przystawałem. Bardzo mnie podziwiała. Kiedy opowiadałem jej coś wesołego, śmiała się głośno i żarliwie, na długo, zanim jeszcze zrozumiała dowcip. Wytknąłem jej to i zapytałem: „Posłuchaj, pani Anno, jak możesz się śmiać z żartu, skoro go jeszcze wcale nie rozumiałaś? To bardzo głupie, a poza tym obraźliwe dla mnie. Albo rozumiesz moje żarty i się śmiejesz, albo ich nie pojmujesz, ale wtedy nie musisz się śmiać i udawać, że rozumiałaś”. Ona śmiała się nadal. „Nie – zawołała – jesteś najsprytniejszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek widziałam, jesteś wspaniały. Zostaniesz profesorem albo ministrem, albo doktorem. Tego śmiechu, wiesz, nie należy mi brać za złe. Śmieję się po prostu, bo cieszę się tobą, i dlatego, że jesteś najdowcipniejszym człowiekiem na świecie. Ale teraz wytłumacz mi już swój dowcip!” Tłumaczyłem go szczegółowo, musiała mnie jeszcze o to i owo pytać, w końcu rzeczywiście go pojmowała i o ile przedtem śmiała się serdecznie i długo, o tyle teraz dopiero śmiała się na całe gardło, śmiała się niepohamowanie i porywająco, tak że również mnie tym śmiechem zarażała. Jakże często śmialiśmy się razem, jakże rozpieszczała mnie i podziwiała, jaka był mną zachwycona! Nieraz musiałem jej trzy razy po kolei bardzo szybko recytować trudne łamańce językowe, na przykład: „Nie pieprz, Pietrze, wieprza pieprzem, bo przepieprzysz wieprza pieprzem” albo historię o cottsbuskim dylizansie pocztowym. Również ona musiała ich spróbować, upierałem się przy tym, ale śmiała się na zapas, nie wymawiała poprawnie nawet trzech słów, wcale też jej na tym nie zależało, a każde rozpoczęte zdanie kończyło się nowymi salwami śmiechu. Pani Anna była najpogodniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem. W swojej chłopięcej mądrości uważałem ją za beżmiernie głupią i taka też była w istocie, lecz była również szczęśliwym człowiekiem, a ja czasem skłaniałem się ku temu, by uważać szczęśliwych ludzi za ukrytych mędrców, również wówczas, gdy wydają się głupi. Cóż jest głupszego i bardziej unieszczęśliwia aniżeli zadufane w sobie mędrkostwo!

Mijały lata i moje kontakty z panią Anną dawno ustały, byłem już dużym uczniem, wystawionym na pokusy, cierpienia i niebezpieczeństwa mędrkostwa. Wówczas pewnego dnia poczułem, że znowu jej potrzebuję. I znowu zaprowadził mnie do niej mały człowieczek. Od jakiegoś czasu byłem rozpaczliwie zaprzątnięty kwestią różnicy płci i pochodzenia dzieci. Kwestia ta stawała się coraz bardziej paląca i dręcząca, a pewnego dnia tak bardzo zaczęła doskwierać i palić, że wolałem raczej przestać żyć niż pozostawić tę straszliwą zagadkę

nierozwiązaną. Zły i markotny wracałem przez rynek ze szkoły, z oczyma wbitymi w ziemię, nieszczęśliwy i ponury, gdy nagle pojawił się mały człowieczek! Stał się rzadkim gościem, od dawna nie był mi wierny, albo ja jemu – i oto nagle ujrzałem go znowu, mały i zwinny biegł przede mną po ziemi, tylko przez chwilę widoczny, po czym wbiegł do domu pani Anny. Zniknął, ale zdążyłem wejść za nim do domu i już wiedziałem dlaczego. Pani Anna wykrzyknęła, kiedy niespodziewanie wbiegłem do pokoju, bo właśnie się przebierała, nie pozbyła się mnie jednak i wkrótce wiedziałem prawie wszystko to, czego wówczas tak koniecznie chciałem się dowiedzieć. Wynikłoby z tego romans, gdybym nie był jeszcze na to zbyt młody.

Ta wesola, głupia kobieta różniła się od większości innych dorosłych tym, że była wprawdzie głupia, ale naturalna i bezpośrednia, zawsze obecna duchem, nigdy niezakłamana, nigdy nieskrępowana. Większość dorosłych była inna. Istniały wyjątki – moja matka, uosobienie żywotności i tajemniczego oddziaływania, i ojciec, uosobienie sprawiedliwości i mądrości, oraz dziadek, który prawie już nie był człowiekiem, tajemniczy, wszechstronny, uśmiechnięty, niewyczerpany. Dorośli, chociaż trzeba było ich głęboko szanować i się ich bać, w zdecydowanej większości byli jednak glinianymi bogami. Jacy wydawali się komiczni ze swoim niezręcznym komedianctwem, kiedy rozmawiali z dziećmi! Jak fałszywie brzmiał ich ton, jak fałszywie ich śmiech! Jakże poważnie brali samych siebie, swoje sprawy i interesy, z jak przesadną powagą, kiedy widziało się ich przechodzących przez ulicę, trzymali swoje narzędzia, teczki, książki przyciśnięte do boku ramieniem, jakże czekali na to, by się ich rozpoznało, pozdrowiło, okazało szacunek! Czasami w niedzielę do moich rodziców przychodzili ludzie „z wizytą”, mężczyźni z cylindrami w niezręcznych rękach, tkwiących w sztywnych glansowanych rękawiczkach, ważni, pełni godności, już samą tą godnością skrepowani mężczyźni, adwokaci i sędziowie okręgowi, pastory i nauczyciele, dyrektorzy i inspektorzy, ze swoimi nieco zalęknionymi, nieco zahukanymi żonami. Siedzieli sztywno na krzesłach, do wszystkiego trzeba było ich nakłaniać, przy wszystkim trzeba było im być pomocnym, przy zdejmowaniu płaszczy, przy wchodzeniu do pokoju, przy siadaniu, zadawaniu pytań i odpowiadaniu, przy wychodzeniu. Niebranie tego drobnomieszczańskiego świata tak poważnie, jak się tego domagał, bardzo mi ułatwiono, ponieważ moi rodzice do niego nie należeli i im samym wydawał się komiczny. Ale nawet kiedy dorośli nie grali komedii, nie nosili rękawiczek i nie składali wizyt, w większości wydawali mi się wielce osobliwi i nedorzeczni. Jakże byli zarozumiali z powodu swojej pracy, swoich zawodów i urzędów, jakże wydawali się sobie wielcy i święci! Kiedy woźnica, policjant albo brukarz blokował ulicę, była to święta sprawa, rozumiało się wówczas samo przez się, że człowiek zbaczał z drogi i robił miejsce

albo nawet pomagał. Ale dzieci ze swoimi pracami i zabawami nie były ważne, odsuwano je na bok i krzyczano na nie. Czy dlatego, że robiły coś mniej słusznego, mniej dobrego, mniej ważnego niż dorośli? O nie, przeciwnie, tylko że dorośli byli potężni, rozkazywali, rządzą. A przy tym, dokładnie tak jak my, dzieci, mieli swoje gry i zabawy, bawili się w ćwiczenia straży pożarnej, bawili się w żołnierzy, chodzili do klubów i restauracji, ale zawsze z ową miną pełną ważności i znaczenia, jakby wszystko musiało być takie właśnie i nie istniało nic piękniejszego i bardziej świętego.

To prawda, zdarzali się między nimi rozsądni ludzie, również wśród nauczycieli. Ale czy już to nie było osobliwe i podejrzane, że wśród tych „dużych” ludzi, z których wszyscy przed jakimś czasem sami byli dziećmi, znajdowało się bardzo niewielu, którzy by zupełnie nie zapomnieli i nie oduczili się, czym jest dziecko, jak żyje, pracuje, bawi się, myśli, co sprawia mu radość, a co budzi w nim niechęć? Jedyne nieliczni, bardzo nieliczni jeszcze to wiedzieli! Istnieli nie tylko tyrani i grubianie, którzy w stosunku do dzieci byli złośliwi i podli, zewsząd je przepędzali, patrzyli na nie krzywo i nienawistnie, a nawet czasami, jak się zdaje, odczuwali przed nimi coś w rodzaju strachu. Nie, nawet ci inni, którzy mieli dobre intencje, którzy chętnie zniżali się czasem do rozmowy z dziećmi, również oni zwykle już nie wiedzieli, o co chodzi, również oni musieli prawie wszyscy z trudem i zakłopotaniem naginać się do poziomu dzieci, kiedy chcieli się z nami zadać, ale nie do poziomu prawdziwych dzieci, lecz do poziomu ich wymyślonych, głupich karykatur.

Wszyscy ci dorośli, prawie wszyscy, żyli w innym świecie, oddychali innym rodzajem powietrza niż my, dzieci. Często nie mieli nad nami żadnej przewagi poza ową tajemniczą władzą. Byli silniejsi, ba, mogli nawet, jeśli dobrowolnie nie okazywaliśmy im posłuszeństwa, zmusić nas i zabić. Czy jednak była to prawdziwa wyższość? Czy każdy wół albo słoń nie był o wiele silniejszy od takiego dorosłego? Ale posiadali władzę, rozkazywali, ich świat i zwyczaje uchodziły za właściwe. A jednak, i to wydawało mi się szczególnie osobliwe, czasem zaś niemal straszne – a jednak było wielu dorosłych, którzy wydawali się nam, dzieciom, zazdrościć. Czasami potrafili to zupełnie naiwnie i otwarcie stwierdzić, mówiąc na przykład z westchnieniem: „Tak, wy, dzieci, to jeszcze macie dobrze!” Jeśli nie było to skłamanie – a czułem czasem, że nie było, słysząc takie stwierdzenia – oznaczało to, że dorośli, potężni, godni i rozkazujący ludzie, nie byli wcale szczęśliwsi od nas, którzy musieliśmy ich słuchać i okazywać im głęboki szacunek. W albumie muzycznym, z którego się uczyłem, rzeczywiście znajdowała się pieśń ze zdumiewającym refrenem: „O, jakże błogo, jak błogo być jeszcze dziecięciem!” Była to tajemnica. My, dzieci, posiadaliśmy coś, czego dorosłym brakowało, byli nie tylko więksi i silniejsi, ale

pod jakimś względem również od nas ubożsi! I oni, którym często zazdrościliśmy ich wysokich postaci, ich godności, ich pozornej swobody i pewności siebie, ich bród i długich spodni, oni czasami, nawet w śpiewanych przez siebie pieśniach, zazdrościli nam, malcom!

No cóż, tymczasem byłem mimo wszystko szczęśliwy. Istniało na świecie wiele rzeczy, które chętnie bym zmienił, zwłaszcza w szkole; ale jednak byłem szczęśliwy. Wprawdzie z wielu stron zapewniano mnie, że człowiek nie chodzi po ziemi jedynie dla swojej przyjemności i że prawdziwe szczęście dopiero na tamtym świecie przypada w udziale tym, którzy się sprawdzili i wytrzymali próbę, wynikało to z wielu sentencji i wierszy, których się uczyłem i które często wydawały mi się bardzo piękne i wzruszające. Tylko że te rzeczy, które również mojemu ojcu sprawiały wiele kłopotu, niezbyt mnie przejmowały i kiedy czasami źle mi się działo, kiedy byłem chory, miałem niespełnione pragnienia albo zatargi i przykrości z rodzicami, wówczas rzadko uciekałem się do Boga, lecz posiadałem inne ukryte drogi, które wyprowadzały mnie znowu ku światłu. Kiedy zwykle zabawy zawodziły, kiedy kolej, dom towarowy i książka z bajkami wydawały się zużyte i nudne, wówczas przychodziły mi często do głowy właśnie najpiękniejsze nowe zabawy. Nawet jeśli polegało to jedynie na tym, że wieczorem w łóżku zamykałem oczy i pogrążałem się w bajecznym widoku ukazujących mi się kolorowych kręgów – jakże mocno ożywały wówczas uszczęśliwienie i tajemnica, jak pełen przeczuć i obietnic stawał się świat!

Mijały pierwsze lata szkolne, niezbyt mnie zmieniając. Poczynilem spostrzeżenie, że ufność i szczerłość mogą przynieść szkodę, nauczyłem się przy kilku obojętnych nauczycielach tego, co najniezbędniejsze w sztuce kłamstwa i kamuflażu; od tego czasu radziłem sobie. Powoli jednak również dla mnie zwiędło pierwsze kwiecie, powoli ja również nauczyłem się, nawet tego nie przeczuwając, owej fałszywej pieśni życia, owego uginania się przed „rzeczywistością”, pod prawami dorosłych, owego dostosowania do świata „takiego, jakim on jest”. Od dawna wiem, dlaczego w śpiewnikach dla dorosłych znajdują się takie wersy, jak: „O, jakże błogo być jeszcze dziecięciem”, i ja również w niejednej godzinie zazdrościłem rym, którzy jeszcze są dziećmi.

Kiedy w dwunastym roku mego życia pojawiła się kwestia, czy mam się uczyć greki, bez wahania rzekłem „tak”, ponieważ wydawało mi się konieczne, bym w przyszłości stał się tak uczony jak mój ojciec, a jeśli to możliwe, jak dziadek. Ale od tego dnia moje życie podporządkowane zostało pewnemu planowi; miałem studiować i zostać albo pastorem, albo filologiem, gdyż na tych kierunkach można było uzyskać stypendia. Również dziadek poszedł kiedyś tą drogą.

Na pozór nie było w tym nic złego. Miałem teraz tylko nagle jakąś przyszłość przed sobą, na mojej drodze stał teraz drogowskaz. Każdy dzień i każdy miesiąc przybliżał mnie teraz ku wytyczonemu celowi, wszystko wskazywało ku niemu, wszystko odwodziło od swawoli i doraźności moich dotychczasowych dni, które nie były pozbawione sensu, ale brakowało im celu i przyszłości. Życie dorosłych pochwyliło mnie zrazu za kosmyk włosów albo za palec, ale wkrótce miało mnie całkowicie uwięzić i przytrzymać, życie wedle celów, wedle liczb, życie porządku i posad, zawodów i egzaminów, wkrótce ja również miałem być studentem, miałem być kandydatem, duchownym, profesorem, miałem składać wizyty z cylindrem, nosić do tego skórzane rękawiczki, miałem przestać rozumieć dzieci, a może nawet im zazdrościć. A przecież w głębi serca nie chciałem tego wszystkiego, nie chciałem opuścić mojego świata, w którym było mi dobrze i przyjemnie. Kiedy myślałem o przyszłości, istniał jednak dla mnie pewien zupełnie tajemny cel. Jednego pragnąłem gorąco, a mianowicie zostać czarodziejem.

To pragnienie i marzenie długo we mnie żyło. Lecz zaczęło tracić swoją wszechmoc, miało wrogów, stały mu na przeszkodzie inne rzeczy, prawdziwe, poważne, którym nie dawało się zaprzeczyć. Powoli, powoli wiedło kwiecie, powoli z nieograniczoności wychodziło mi naprzeciw coś ograniczonego, prawdziwy świat, świat dorosłych. Powoli pragnienie zostania czarodziejem, chociaż nadal gorąco tego chciałem, w moich własnych oczach straciło na wartości, dla mnie samego stało się dziecinadą. Istniało coś, w czym nie byłem już dzieckiem. Nieskończony, zróżnicowany świat tego, co możliwe, uległ dla mnie ograniczeniu, został podzielony na pola, pocięty płotami. Powoli dziewiczy las moich dni się przeistoczył, raj zastygł wokół mnie. Nie pozostałem tym, którym byłem, księciem i królem w krainie możliwego, nie zostałem czarodziejem, uczyłem się greki, za dwa lata miał do tego dojść hebrajski, a za sześć miałem zostać studentem.

Niepostrzeżenie dokonało się spętanie, niepostrzeżenie wyparowała wokół magia. Cudowna opowieść w księdze dziadka wciąż była piękna, lecz znajdowała się na stronie, której numer znałem, i znajdowała się tam dzisiaj i jutro, i o każdej porze, nie wydarzały się już cuda. Tańczący bóg z Indii uśmiechał się obojętnie i był z brązu, rzadko już na niego patrzyłem, nigdy już nie widziałem go spoglądającego zezem. A co najgorsze, coraz rzadziej widywałem szarego, małego człowieczka. Zewsząd otaczało mnie odczarowanie, wiele z tego, co kiedyś było szerokie, stało się wąskie, wiele z tego, co kiedyś było drogocenne, stało się bezwartościowe.

Czułem to jednak tylko w skrytości, pod skórą, wciąż jeszcze byłem radosny i żądny władzy, nauczyłem się pływać i jeździć na nartach, byłem pierwszy w grece, wszystko szło z pozoru znakomicie. Tylko że wszystko miało nieco bledszą

barwę, nieco bardziej głuchy ton, tylko że zaczęło mnie nudzić chodzenie do pani Anny, tylko że ze wszystkiego, co przeżywałem, pomaleńku coś uchodziło, coś niezauważalnego, coś, za czym się nie tęskniło, co jednak odeszło i czego brakowało. I kiedy chciałem teraz znowu samego siebie poczuć w pełni i żarliwie, potrzebowałem do tego mocniejszych podniet, musiałem sobą potrząsnąć i wziąć rozbieg. Zaczęły mi smakować mocno przyprawione potrawy, często ukradkiem coś podjadałem, nieraz podkradłem parę groszy, by móc pozwolić sobie na jakąś szczególną przyjemność, gdyż nic poza tym nie było wystarczająco żywe i piękne. Również dziewczęta zaczęły mnie pociągać; było to wkrótce po tym, jak mały człowieczek raz jeszcze się ukazał i raz jeszcze zaprowadził mnie do pani Anny.

Związły życiorys

W pierwszych latach powojennych dwukrotnie podjąłem próbę przedstawienia na użytek moich przyjaciół, dla których stałem się wówczas dość problematyczną postacią, w bajkowej i półhumorystycznej formie czegoś w rodzaju sumarycznego zarysu własnego życia. Pierwsza z tych prób, która wydaje mi się bardziej udana, *Dzieciństwo czarodzieja*, pozostała we fragmencie. Druga, w której, na wzór Jean Paula, podjęta została ryzykowna próba sięgającej w przyszłość „biografii domniemanej”, ukazała się w roku 1925 w berlińskim czasopiśmie „Neue Rundschau”. W niniejszej książce wprowadzono w niej jedynie nieznaczne poprawki. Przez wiele lat zamierzałem obydwie teksty jakoś połączyć, jednakże nie znalazłem sposobu pogodzenia dwóch tak różnych w tonie i nastroju utworów.

Urodziłem się pod koniec ery nowożytnej, na krótko przed rozpoczynającym się nawrotem średniowiecza, ze Strzelcem w ascendencie i przyjaźnie opromieniony przez Jowisza. Moje narodziny nastąpiły we wczesnej porze wieczornej w ciepły lipcowy dzień i temperaturę tamtej godziny nieświadomie uwielbiałem przez całe życie i poszukiwałem jej, a kiedy nie była właśnie taka, boleśnie odczuwałem jej brak. Nigdy nie mogłem żyć w zimnych krajach i wszystkie dobrowolne podróże mego życia prowadziły na południe. Byłem synem pobożnych rodziców, których czule kochałem i jeszcze czulej bym kochał, gdyby wcześniej nie zapoznano mnie z czwartym przykazaniem. Przykazania zawsze jednak miały na mnie, niestety, fatalne działanie, choćby były najsluszniejsze i kryły się za nimi najlepsze intencje – ja, który z natury jestem potulny i łatwy do kierowania jak bańka mydlana, zawsze zachowywałem się opornie wobec wszelkiego rodzaju nakazów, zwłaszcza w młodości. Wystarczało, że usłyszałem „powinieneś”, a wszystko we mnie się jeżyło i zacinałem się w uporze. Można sobie wyobrazić, jak wielki i negatywny wpływ cecha ta miała na moje lata szkolne. Wprawdzie nasi nauczyciele uczyli nas w ramach tego zabawnego przedmiotu, który nazywali historią powszechną, że świat zawsze był rządony, kierowany i zmieniany przez ludzi, którzy wyznaczyli sobie własne zasady i zrywali z odziedziczonymi prawami, i mówiono nam, że ludzie ci godni są podziwu. Było to jednak równie zakłamanie jak całe pozostałe nauczanie, gdyż kiedy któryś z nas, czy to w dobrej, czy w złej intencji, okazywał odwagę i protestował przeciwko jakiemuś nakazowi albo po prostu głupiemu zwyczajowi

czy modzie, wówczas nie był ani podziwiany, ani stawiany nam za wzór, lecz karany, ośmieszany i tłamszony przez tchórzliwą przemoc nauczycieli.

Na szczęście już przed rozpoczęciem lat szkolnych nauczyłem się tego, co w życiu ważne i najcenniejsze: posiadałem żywe, wrażliwe i subtelne zmysły, na których mogłem polegać i czerpać z nich wiele przyjemności, i chociaż później beznadziejnie uległem pokusom metafizyki, a czasem nawet umartwiałem i zaniedbywałem swoje zmysły, to jednak atmosfera subtelnie rozwiniętej zmysłowości, zwłaszcza co się tyczy wzroku i słuchu, zawsze mi towarzyszyła i wywierała żywy wpływ na mój świat myśli, nawet tam, gdzie wydaje się on abstrakcyjny. Uzyskałem zatem, jako się rzekło, pewien życiowy rynsztunek na długo przed początkiem lat szkolnych. Byłem obeznany z naszym miastem rodzinnym, zagrodami dla kur i lasami, sadami i warsztatami rzemieślników, znałem drzewa, ptaki i motyle, potrafiłem śpiewać piosenki i gwizdać przez zęby, i jeszcze niejedno, co ma wartość w życiu. Do tego doszły teraz nauki szkolne, które przychodziły mi z łatwością i bawiły mnie, prawdziwą przyjemność znajdowałem zwłaszcza w łacinie i niemal równie wcześnie zacząłem pisać łacińskie i niemieckie wiersze. Sztukę kłamstwa i dyplomacji zawdzięczam drugiemu rokowi szkolnemu, w którym pewien preceptor i pewien nauczyciel pomocniczy pomogli mi osiąść te umiejętności, podczas gdy przedtem przez dziecięcą otwartość i ufność ściągałem na siebie jedno nieszczęście po drugim. Obaj ci wychowawcy skutecznie mi uświadomili, że uczciwość i umiłowanie prawdy nie są cechami, których szukają u uczniów. Przypisali mi pewien wybryk, bardzo zresztą błahy, jaki wydarzył się w klasie i za który nie ponosiłem żadnej odpowiedzialności; a ponieważ nie byli w stanie sprawić, bym przyznał się do winy, z drobiazgu wynikł proces rangi państwowej i choć obydwaj nie wymusili na mnie torturami i biciem upragnionego przyznania się do winy, to jednak skutecznie wybili mi z głowy wszelką wiarę w przyzwoitość nauczycielskiej kasty. Wprawdzie z czasem poznałem, dzięki Bogu, również prawdziwych i godnych szacunku nauczycieli, lecz szkoda została poczyniona i nie tylko mój stosunek do wychowawców, lecz również do wszelkiego autorytetu został wypaczony i zatruty. Ogólnie biorąc, byłem w ciągu pierwszych siedmiu czy ośmiu lat szkolnych dobrym uczniem, a w każdym razie znajdowałem się stale wśród najlepszych w klasie. Dopiero z nastaniem owych zmagania, jakie nie bywają oszczędzone nikomu z tych, którym pisane jest stać się indywidualnością, zacząłem również popadać w coraz głębszy konflikt ze szkołą. Zrozumiałem te zmagania dopiero dwa dziesięciolecia później, wówczas po prostu istniały i otaczały mnie, wbrew mej woli, jako straszliwe nieszczęście.

Rzecz przedstawiała się następująco: od trzynastego roku życia jedno było dla mnie jasne, a mianowicie, że chcę być pisarzem albo nikiem innym. Do tej

pewności doszła jednak stopniowo jeszcze jedna bolesna konstatacja. Można było zostać nauczycielem, pastorem, lekarzem, rzemieślnikiem, kupcem, urzędnikiem pocztowym, a także muzykiem, malarzem albo architektem, do wszystkich zawodów na świecie istniała jakaś droga, istniały wstępne warunki, istniała szkoła, nauka dla początkujących. Jedynie dla pisarza tego nie było! Było dozwolone, a nawet uchodziło za zaszczyt być pisarzem: to znaczy odnosić jako pisarz sukcesy i być znanym, przy czym, niestety, już się wówczas zazwyczaj nie żyło. Zostanie pisarzem było jednak niemożliwe, chcieć zaś nim zostać oznaczało śmieszność i hańbę, jak wkrótce się przekonałem. Szybko nauczyłem się tego, czego z tej sytuacji można się było nauczyć, a mianowicie, że pisarz jest kimś, kim można jedynie być, a nie dopiero zostać. Co więcej, zainteresowanie dla literatury i własny literacki talent czyniły człowieka w oczach nauczycieli kimś podejrzanym, odnoszono się doń z tego powodu nieufnie albo z szyderstwem, a często nawet śmiertelnie go obrażano. Z pisarzem rzecz miała się dokładnie tak samo jak z bohaterami, jak ze wszystkimi mocnymi i pięknymi, radosnymi i nietuzinkowymi postaciami i dążeniami: w przeszłości były one wspaniałe, wszystkie podręczniki pęczniały od pochwał dla nich, lecz w teraźniejszości i rzeczywistości ich nienawidzono, i przypuszczalnie nauczyciele byli specjalnie w tym celu zatrudniani i kształceni, by w miarę możliwości zapobiegać wyrastaniu wspaniałych, wolnych ludzi i wydarzaniu się wielkich, świetnych czynów.

Widziałem zatem między sobą a moim odległym celem jedynie ziejące przepaści, wszystko stało się dla mnie niepewne, wszystko pozbawione wartości, tylko to jedno pozostało niezmiennie: że chcę zostać pisarzem, bez względu na to, czy będzie to łatwe, czy trudne, śmieszne czy chwalebne. Zewnętrzne skutki tego postanowienia – a raczej przeznaczenia – były następujące:

Kiedy miałem trzynaście lat i konflikt ów właśnie się rozpoczął, moje zachowanie zarówno w domu rodzinnym, jak i w szkole pozostawiało tak wiele do życzenia, że posłano mnie na wygnanie do gimnazjum klasycznego w innym mieście. W rok później zostałem wychowankiem seminarium teologicznego, nauczyłem się pisać alfabet hebrajski i byłem już bardzo bliski zrozumienia, czym jest *dagesz forte implicitum*, kiedy nagle rozpętały się we mnie burze, które doprowadziły do mojej ucieczki ze szkoły klasztornej, ukarania mnie ciężkim karcerem i opuszczenia przeze mnie seminarium.

Przez jakiś czas usiłowałem potem kontynuować naukę w pewnym gimnazjum, tylko że tam również skończyło się to karcerem i rozstaniem. Później przez trzy dni byłem terminatorem u kupca, znowu uciekłem i ku wielkiemu zmartwieniu rodziców zniknąłem na kilka dni i nocy. Przez pół roku byłem

asystentem ojca, przez półtora roku praktykantem w warsztacie mechanicznym i fabryce zegarów wieżowych.

Krótko mówiąc, przez ponad cztery lata nie udawało się nic, co usiłowano wobec mnie przedsięwziąć, żadna szkoła nie chciała mnie zatrzymać, w żadnej nauce zawodu nie wytrzymałem długo. Każda próba uczynienia ze mnie użytecznego człowieka kończyła się fiaskiem, kilkakrotnie zaś hańbą i skandalem, ucieczką albo wydaleniem, choć wszędzie przyznawano mi spore zdolności, a nawet pewien stopień dobrej woli! Byłem również zawsze dość pilny – szczytną cnotę próżnowania zawsze głęboko podziwiałem, nigdy jednak nie osiągnąłem w niej mistrzostwa. W wieku piętnastu lat, kiedy nie powiodło mi się w szkole, świadomie i energicznie rozpocząłem samokształcenie i było dla mnie szczęściem i rozkoszą, że w domu mojego ojca znajdowała się potężna dziadkowa biblioteka, sala pełna starych ksiąg, zawierająca między innymi całą niemiecką poezję i filozofię osiemnastego wieku. Między szesnastym a dwudziestym rokiem życia nie tylko zapisałem mnóstwo papieru swoimi pierwszymi próbami poetyckimi, lecz również przeczytałem w tych latach połowę literatury powszechnej oraz zajmowałem się historią sztuki, językami i filozofią z wytrwałością, która z powodzeniem wystarczyłaby do odbycia normalnych studiów.

Potem zostałem księgarzem, by w końcu samemu móc zarabiać na swoje utrzymanie. Z książkami łączyły mnie bądź co bądź liczniejsze i bliższe związki niż z imadłem i żeliwnymi kołami zębatymi, z którymi mordowałem się jako mechanik. Przez początkowy okres pławienie się w nowej i najnowszej literaturze, a nawet tonięcie pod jej zalewem było dla mnie niemal upojną przyjemnością. Po jakimś czasie zauważyłem jednak, że w sferze ducha życie w samej terażniejszości, w tym, co nowe i najnowsze, jest nieznośne i bezsensowne, że dopiero stała więź z przeszłością, z historią, z tym, co stare i prastare, w ogóle umożliwia życie duchowe. Kiedy więc wyczerpało się owo początkowe zadowolenie, zacząłem odczuwać potrzebę powrotu spod zalewu nowości do rzeczy minionych, a dokonałem tego, przenosząc się z księgarstwa do antykwariatu. Pozostałem jednak wierny temu zawodowi jedynie tak długo, jak długo potrzebowałem go do utrzymania się przy życiu. W wieku dwudziestu sześciu lat, po odniesieniu pierwszego sukcesu literackiego, porzuciłem również ten fach.

Teraz zatem, wśród tak wielu burz i ofiar, osiągnięty został mój cel: zostałem jednak, jakkolwiek nieprawdopodobne mogło się to wydawać, pisarzem i jak się zdawało, wygrałem długą i zacieklą walkę ze światem. Gorycz lat szkolnych i lat dorastania, w ciągu których bardzo często byłem bliski zguby, została teraz zapomniana i traktowałem ją z uśmiechem – również krewni i

przyjaciele, którzy dotąd załamywali nade mną ręce, uśmiechali się do mnie przyjaźnie. Zwyciężyłem i kiedy zdarzało mi się teraz robić coś najgłupszego i najbardziej bezwartościowego, uznawano to za zachwycające, a ja sam także byłem sobą wielce zachwycony. Dopiero teraz zauważyłem, w jak straszliwym osamotnieniu, ascezie i niebezpieczeństwie żyłem przez lata; ciepłe powietrze uznania dobrze mi robiło, zacząłem się stawać zadowolonym człowiekiem.

Moje życie zewnętrzne toczyło się teraz przez dłuższy czas spokojnie i przyjemnie. Miałem żonę, dzieci, dom i ogród. Pisałem swoje książki, uchodziłem za miłego pisarza i żyłem pogodzony ze światem. W roku 1905 pomogłem założyć czasopismo wymierzone przede wszystkim przeciw samowładnym rządóm Wilhelma II, mimo że w istocie nie brałem poważnie tych politycznych celów. Odbywałem piękne podróże po Szwajcarii, Niemczech, Austrii, Włoszech i Indiach. Wszystko zdawało się być w porządku.

Potem nadeszło tamto lato 1914 roku i nagle wszystko wewnątrz i na zewnątrz mnie zaczęło wyglądać zupełnie inaczej. Okazało się, że nasza dotychczasowa pomyślność opierała się na niepewnym gruncie, i rozpoczął się teraz okres niepomyślności, wielkiej edukacji. Zaczęły się tak zwane wielkie czasy i nie mogę powiedzieć, by zastały mnie lepiej przygotowanego, godniejszego i lepszego niż wszystkich innych. Odróżniało mnie wówczas od pozostałych jedynie to, że pozbawiony byłem owej jedynej wielkiej pociechy, jaką posiadało tak wielu innych: entuzjazmu. W ten sposób znowu stałem się sobą i popadłem w konflikt z otoczeniem, ponownie zostałem wzięty do szkoły, musiałem raz jeszcze oduczyć się zadowolenia z siebie i ze świata, i dopiero to doświadczenie pozwoliło mi przestąpić próg wtajemniczenia w życie.

Nigdy nie zapomniałem drobnego przeżycia z pierwszych lat wojny. Składałem wizytę w wielkim lazarecie, poszukując sposobności sensownego dopasowania się jako wolontariusz do odmienionego świata, co wówczas jeszcze wydawało mi się możliwe. W tym szpitalu dla rannych żołnierzy poznałem pewną starą pannę, która wcześniej żyła dostatnio z procentów, a teraz pełniła w tym lazarecie obowiązki sanitariuszki. Ze wzruszającym entuzjazmem opowiadała mi, jak bardzo jest szczęśliwa i dumna, że mogła jeszcze przeżyć te wielkie czasy. Byłem to w stanie zrozumieć, bo owa dama potrzebowała wojny, by ze swej gnuśnej i czysto egoistycznej egzystencji starej panny uczynić czynne i wartościowe życie. Ale kiedy informowała mnie o swoim szczęściu – w korytarzu pełnym obandażowanych i powykrzywianych bólem żołnierzy, między salami wypełnionymi ludźmi po amputacjach i umierającymi – krajało mi się serce. Choć tak dobrze rozumiałem entuzjazm tej paniusi, nie potrafiłem go podzielać

ani zaaprobować. Jeśli na dziesięciu rannych przypadała jedna taka entuzjastyczna sanitariuszka, to szczęście tych pań było dość drogo okupione.

Nie, nie potrafiłem podzielać radości z wielkich czasów, co sprawiło, że od początku straszliwie cierpiałem z powodu wojny i latami rozpaczliwie broniłem się przed nieszczęściem, które – jak się zdawało – spadło na mnie od zewnątrz jak grom z jasnego nieba, podczas gdy cały świat wokół mnie sprawiał wrażenie, jakby przepelniał go entuzjazm z powodu tego właśnie nieszczęścia. A kiedy czytałem teraz artykuły prasowe pisarzy, w których odkrywali oni błogosławieństwa wojny, oraz apele profesorów i wszystkie wiersze wojenne z pracowni słynnych poetów, wówczas czułem się jeszcze podlej.

W roku 1915 wymknęło mi się pewnego dnia publicznie wyznanie dotyczące tego podłego samopoczucia i słówko ubolewania nad tym, że nawet tak zwani ludzie ducha nie potrafią robić nic innego, jak tylko głosić nienawiść, szerzyć kłamstwa i wychwalać pod niebiosa wielkie nieszczęście. Skutek tej dość nieśmiało wypowiedzianej skargi był taki, że w prasie mej ojczyzny zostałem okrzyknięty zdrajcą – co było dla mnie nowym doświadczeniem, ponieważ pomimo licznych kontaktów z prasą nigdy przedtem nie znalazłem się w sytuacji kogoś oplutego przez większość. Artykuł z tym oskarżeniem został przedrukowany przez dwadzieścia gazet mojej małej ojczyzny i spośród wszystkich moich przyjaciół, których – jak mi się zdawało – miałem w prasie wielu, jedynie dwóch odważyło się wystąpić w mojej obronie. Starzy przyjaciele oświadczali mi, że wykarmili na swej piersi żmiję i że serce w tej piersi odtąd bić będzie jedynie dla cesarza i Rzeszy, a nie dla kogoś tak zwyrodniałego jak ja. Obelżywe listy od nieznanomych nadchodziły w wielkiej ilości, a księgarze powiadamiali mnie, że autor o tak niegodnych poglądach już dla nich nie istnieje. Niektóre z tych listów zapoznały mnie z klejnotem, który wówczas widziałem po raz pierwszy: małym okrągłym stemplem z napisem „Boże, ukarż Anglię”.

Można by sądzić, że serdecznie się śmiałem z tego nieporozumienia. Nie udało mi się to jednak. To nieważne samo w sobie przeżycie zaowocowało drugą wielką przemianą mego życia.

Jak czytelnik sobie przypomina, pierwsza przemiana nastąpiła w chwili, gdy uświadomiłem sobie własną determinację zostania pisarzem. Wzorowy dotąd uczeń Hesse stał się od tego momentu złym uczniem, był karany, relegowany, nigdzie dobrze się nie sprawował, przysparzał sobie i swoim rodzicom wciąż nowych zmartwień – a wszystko to tylko dlatego, że nie widział możliwości pogodzenia ze sobą świata, jakim on jest albo wydaje się być, i głosu własnego serca. To powtórzyło się teraz w latach wojny. Znowu popadłem w konflikt ze światem, z którym żyłem dotąd w błogim pokoju. Znowu zupełnie mi się nie

wiodło, znowu byłem samotny i znękanym, znowu wszystko, co mówiłem i myślałem, było przez innych wrogo i fałszywie interpretowane. Znowu między rzeczywistością a tym, co wydawało mi się pożądane, rozumne i dobre, widziałem beznadziejną przepaść.

Tym razem jednak nie została mi oszczędzona autorefleksja. Po niedługim czasie poczułem się zmuszony do poszukiwania winy za moje cierpienia nie poza sobą, lecz w samym sobie. Dobrze bowiem rozumiałem, że żaden człowiek i żaden bóg nie ma prawa zarzucać całemu światu szaleństwa i brutalności, a już najmniej ja. We mnie samym musiał zatem panować spory nieporządek, jeśli popadłem w konflikt z całym biegiem świata. I rzeczywiście wielki nieporządek tam panował. Nie było przyjemne zająć się tym nieporządkiem w samym sobie i spróbować zaprowadzić w nim ład. Jedno przede wszystkim stało się przy tym jasne: błogi pokój, w jakim żyłem ze światem, został nie tylko zbyt drogo przeze mnie okupiony, lecz był równie zgniły jak zewnętrzny pokój na świecie. Sądziłem wcześniej, że długimi, ciężkimi zmaganiem młodości zasłużyłem na swoje miejsce w świecie i że jestem teraz pisarzem. Tymczasem jednak sukces i pomyślność wywarły na mnie swój zwykły wpływ, stałem się zadowolony i wygodny, i kiedy dokładnie się sobie przyglądałem, trudno mi było odróżnić poetę od autora literatury popularnej. Za dobrze mi się powodziło. Cóż, obecnie hojnie się zatroszczono o niepowodzenie, które zawsze jest dobrą i energiczną szkołą. W ten sposób coraz bardziej uczyłem się pozwalać sprawom świata podążać swoim biegiem i mogłem zajmować się własnym udziałem w ogólnym zamęcie i winie. Wyczytanie tego zajęcia się sobą z moich pism muszę pozostawić czytelnikowi. I wciąż jeszcze mam skrytą nadzieję, że z czasem również mój naród, nie jako całość, lecz za pośrednictwem bardzo wielu przytomnych i odpowiedzialnych jednostek, przeprowadzi podobny rachunek sumienia i w miejsce uskarżania się i pomstowania na złą wojnę, złych wrogów i złą rewolucję, zasieje w tysiącu serc pytanie: w jaki sposób ja sam stałem się współwinny i w jaki sposób mogę odzyskać niewinność? Bo człowiek zawsze może odzyskać niewinność, jeśli rozpozna swoje cierpienie oraz swoją winę i będzie cierpiał do końca, zamiast w innych szukać winy.

Kiedy nowa przemiana zaczęła znajdować wyraz w moich utworach i w moim życiu, wielu przyjaciół kręciło głowami. Wielu również mnie opuściło. Należało to do odmienionego obrazu mojego życia, podobnie jak utrata domu, rodziny oraz innych dóbr i wygod. Był to czas, kiedy co dzień z czymś się żegnałem i co dzień byłem zdumiony, że jeszcze i to potrafiłem znieść i wciąż jeszcze żyję, i wciąż jeszcze coś kocham w tym osobliwym życiu, które zdawało się wszak przynosić mi jedynie ból, rozczarowania i straty.

Gwoli prawdzie muszę jednak przyznać, że również w latach wojny miałem coś w rodzaju dobrej gwiazdy albo anioła stróża. Chociaż czułem się bardzo samotny z moimi cierpieniami i aż do początku przemiany w każdej godzinie odczuwałem swój los jako nieszczęsny i przeklinałem go, to właśnie moje cierpienie, moje opętanie cierpieniem służyło mi za osłonę i pancerz przeciwko światu zewnętrznemu. Spędzałem bowiem lata wojenne w odrażającym otoczeniu polityki, szpiegostwa, przekupstwa i koniunkturalizmu, jakie nawet wówczas występowały w takim stężeniu jedynie w niewielu miejscach na ziemi – a mianowicie w Bernie pośród niemieckiej, neutralnej i wrażej dyplomacji, w mieście, które z dnia na dzień uległo przeludnieniu, i to za sprawą samych dyplomatów, agentów politycznych, szpiegów, dziennikarzy, spekulantów i pa skarży. Żyłem między dyplomatami i wojskowymi, a poza tym przestawiałem z ludźmi należącymi do wielu, również wrogich, narodów, powietrze wokół mnie było jedną wielką siecią wywiadu i kontrwywiadu, szpiclowania, intryg, politycznych i osobistych interesów – i przez wszystkie te lata zupełnie tego nie zauważałem! Sondowano mnie, śledzono i inwigilowano, już to wrogom, już to neutralnym, już to własnym rodakom wydawałem się podejrzany, i wszystkiego tego nie dostrzegałem, dopiero znacznie później dowiedziałem się tego i owego, i nie pojmowałem, jak mogłem żyć w tej atmosferze nietknięty i nie ponosząc uszczerbku. Ale tak właśnie było.

Z końcem wojny zbiegło się dopełnienie mojej przemiany oraz szczyt cierpień związanych z własnym rachunkiem sumienia. Cierpienia te nie miały już nic wspólnego z wojną i losem świata, a również klęska Niemiec, której my za granicą od dwóch lat byliśmy pewni, nie miała w sobie obecnie nic przerażającego. Byłem całkowicie pogrążony w sobie i we własnym losie, mając wprawdzie czasem uczucie, że chodzi tu o wszelki los ludzki w ogóle. W samym sobie odnajdywałem wszelką wojnę i mordercze skłonności świata, całą jego lekkomyślność, żądzę użycia, tchórzostwo, musiałem najpierw utracić szacunek, a potem pogardę dla samego siebie, nie pozostawało mi nic innego, jak zajrzeć do samej głębi chaosu, z często rozbłyskującą, często gasnącą nadzieją, że po drugiej jego stronie odnajdę znowu naturę i niewinność. Każdy przebudzony człowiek, każdy, który naprawdę osiągnął świadomość, raz albo po wielekroć podąża tą wąską drogą przez pustynię – chcieć o tym mówić innym byłoby daremnym trudem.

Kiedy przyjaciele mnie zdradzali, czasami odczuwałem smutek, lecz żadnego dyskomfortu, odbierałem to raczej jako utwierdzenie na mej drodze. Ci dawni przyjaciele mieli wszak zupełną rację, kiedy mówili, że wcześniej byłem takim sympatycznym człowiekiem i pisarzem, podczas gdy moja obecna problematyka jest po prostu niestrawna. Już dawno wyszedłem wówczas poza

kwestie smaku czy charakteru, nie było nikogo, dla kogo mój język byłby zrozumiały. Przyjaciele ci mieli być może rację, kiedy mi zarzucali, że moje utwory utraciły piękno i harmonię. Takie słowa pobudzały mnie tylko do śmiechu – czym jest piękno albo harmonia dla kogoś skazanego na śmierć, kto ucieka między walącymi się murami, ratując życie? Być może ja również, wbrew swemu hołubionemu przez całe życie przekonaniu, nie byłem wcale pisarzem, a cała estetyczna działalność była jedynie pomyłką? Dlaczego nie, to także nie miało już znaczenia. Większość z tego, co widziałem podczas mojej piekielnej podróży przez siebie samego, była fałszywa i pozbawiona wartości, więc może podobnie rzecz się miała z moim urojeniem o powołaniu czy uzdolnieniu. Jakże mało ważne było to jednak! A to, co pełen próżności i dziecięcej radości uważałem kiedyś za swoje zadanie, także już nie istniało. Swego zadania, a raczej swojej drogi ku wybawieniu, od dawna nie widziałem na obszarze liryki ani filozofii, ani też jakiegokolwiek specjalistycznej dziedziny, lecz w tym jedynie, by resztce tego, co było we mnie żywe i silne, pozwolić żyć własnym życiem, jedynie w bezwarunkowej wierności temu, co odczuwałem jeszcze w sobie jako żywe. To było życiem, to było bogiem. Potem, kiedy takie czasy wielkiego i zagrażającego życiu napięcia przeminały, wszystko jawi się osobliwie odmienione, ponieważ ówczesne treści i ich nazwy są obecnie wyzbyte znaczenia, a przedwczorajsze świętości mogą się wydawać niemal komiczne.

Wiosną 1918 roku, kiedy i dla mnie wojna wreszcie się skończyła, usunąłem się w odległy zakątek Szwajcarii i zostałem pustelnikiem. Ponieważ przez całe życie (było to dziedzictwo po rodzicach i dziadkach) bardzo wiele zajmowałem się indyjską i chińską mądrością, a również moje nowe przeżycia wyrażałem po części we wschodnim języku obrazkowym, nieraz nazywano mnie „buddystą”, z czego mogłem się tylko śmiać, gdyż w gruncie rzeczy wiedziałem, że od żadnego wyznania nie jestem bardziej odległy niż od tego właśnie. A jednak ukryte w tym było coś słusznego, jakieś ziarno prawdy, co dopiero później sobie uświadomiłem. Gdyby w ogóle możliwe było, żeby człowiek sam wybierał sobie religię, to z najgłębszej tęsknoty przystąpiłbym do jakiejś religii konserwatywnej: konfucjanizmu, braminizmu czy Kościoła rzymskiego. Uczyniłbym to jednak z tęsknoty za przeciwnym biegunem, nie zaś z wrodzonego powinowactwa, gdyż nie przypadkiem jedynie urodziłem się jako syn pobożnych protestantów, lecz również z usposobienia i natury jestem protestantem (czemu nie zaprzecza moja głęboka antypatia do istniejących obecnie protestanckich wyznań). Prawdziwy protestant broni się bowiem przed własnym Kościołem jak przed każdym innym, ponieważ jego natura nakazuje mu bardziej afirmować stawanie się niż bycie. W tym sensie również Budda był zapewne protestantem.

Wiara w moje pisarskie powołanie i w wartość własnej literackiej pracy była zatem od czasu przemiany ze mnie wykorzeniona. Pisanie nie sprawiało mi już prawdziwej radości. Jakaś radość człowiek musi jednak mieć, również ja w całym swoim utrapieniu rościłem sobie do tego prawo. Mogłem się wyrzec sprawiedliwości, rozumu, sensu w życiu i w świecie, widziałem, że świat znakomicie radzi sobie bez wszystkich tych abstrakcji – odrobiny radości nie potrafiłem się jednak wyrzec i pragnienie tej odrobiny radości było we mnie jednym z owych małych płomyków, w które jeszcze wierzyłem i o których sądziłem, że stworzę sobie z nich świat na nowo. Często szukałem radości, marzenia, zapomnienia w butelce wina i bardzo często ona mi pomagała, chwalała jej za to. Nie wystarczała jednak. I oto pewnego dnia odkryłem zupełnie nową radość. Mając czterdzieści lat, zacząłem nagle malować. Nie, żebym uważał się za malarza albo chciał nim zostać. Ale malarstwo jest czymś cudownym, czyni człowieka radośniejszym i bardziej cierpliwym. Nie ma się potem, jak przy pisaniu, czarnych palców, ale czerwone i niebieskie. Również z powodu tego malowania irytuje się wielu moich przyjaciół. Tutaj mam mało szczęścia – ilekroć biore się do czegoś naprawdę koniecznego, obiecującego i ładnego, ludzie stają się nieprzyjemni. Chcieliby, żeby człowiek pozostał tym, kim był, żeby nie zmieniał twarzy. Lecz moja twarz opiera się temu, chce się często zmieniać, jest to jej potrzebą.

Inny zarzut, jaki mi się stawia, mnie samemu wydaje się bardzo słuszny. Odmawia mi się poczucia rzeczywistości. Ani utwory literackie, które piszę, ani obrazki, które maluję, nie odpowiadają rzeczywistości. Kiedy piszę, często zapominam o wszelkich wymaganiach, jakie wykształceni czytelnicy stawiają porządnej książce, a przede wszystkim brakuje mi istotnie szacunku dla rzeczywistości. Uważam, iż o rzeczywistość potrzeba się troszczyć najmniej ze wszystkiego, ponieważ jest ona – i to w sposób dość uciążliwy – zawsze obecna, podczas gdy naszej uwagi i troski domagają się piękniejsze i potrzebniejsze rzeczy. Rzeczywistość jest tym, z czego pod żadnym pozorem nie można być zadowolonym, czego pod żadnym pozorem nie można wielbić i czcić, ponieważ jest ona przypadkiem, odpadem życia. I nie można jej, tej nędznej, wciąż rozczarowującej i czczej rzeczywistości, w żaden inny sposób zmienić, jak tylko jej zaprzeczając, pokazując, że jesteśmy od niej silniejsi.

W moich utworach literackich zauważa się często brak zwykłego szacunku dla rzeczywistości, a kiedy maluję, wówczas drzewa mają twarze, a domy śmieją się albo tańczą, albo płaczą, ale czy drzewo to jest gruszą, czy kasztanowcem, tego najczęściej nie sposób rozpoznać. Ten zarzut muszę przyjąć. Przyznaję, że również moje własne życie bardzo często wydaje mi się bajką, częstokroć widzę i odczuwam zgodność i harmonię świata zewnętrznego z moim wnętrzem, którą muszę określić jako magiczną.

Jeszcze kilkakrotnie zdarzyło mi się popełnić głupstwa, na przykład poczyniłem kiedyś niewinną uwagę o znanym poecie Schillerze, na co natychmiast wszystkie południowoniemieckie kluby kręglarskie ogłosiły mnie profanatorem ojczystych świętości. Obecnie jednak już od lat udaje mi się nie mówić niczego, co mogłoby szargać jakąkolwiek świętość i od czego ludzie czerwieniliby się z wściekłości. Widzę w tym pewien postęp.

Ponieważ zaś tak zwana rzeczywistość nie odgrywa dla mnie zbyt wielkiej roli, ponieważ przeszłość często zaprzęta mnie tak jak terażniejszość, a terażniejszość wydaje mi się nieskończenie odległa, dlatego nie mogę tak ostro oddzielić przyszłości od przeszłości, jak to się zwykle czyni. Żyję bardzo wiele w przyszłości, w związku z czym nie muszę kończyć mojej biografii na dniu dzisiejszym, lecz mogę pozwolić jej spokojnie rozwijać się dalej.

Chcę pokrótce opowiedzieć, jak moje życie do końca zakreśla swój krąg. Do roku 1930 napisałem jeszcze kilka książek, by potem na zawsze rozstać się z tym zawodem. Pytanie, czy można mnie właściwie zaliczyć do poetów, czy też nie, zostało zbadane w dwóch rozprawach przez pracowitych młodych ludzi, lecz nie doczekało się odpowiedzi. W wyniku starannego przeglądu nowszej literatury okazało się mianowicie, że fluid, który czyni z człowieka poetę, występuje w naszych czasach w tak nadzwyczajnym rozrzedzeniu, że różnica między poetą a literatem nie jest już możliwa do stwierdzenia. Z tego obiektywnego stanu rzeczy dwaj doktoranci wyciągnęli jednak przeciwstawne wnioski. Pierwszy z nich, sympatyczniejszy, był zdania, że tak absurdalnie rozrzedzona poezja nie jest już w ogóle poezją, a ponieważ zwykła literatura nie zasługuje na istnienie, można spokojnie pozwolić umrzeć cichą śmiercią temu, co dziś nazywa się poezją. Drugi był jednakże niezłomnym czcicielem poezji, również w jej najbardziej rozrzedzonej postaci, a co za tym idzie, uważał, że lepiej jest na wszelki wypadek tolerować stu pseudopoetów niż wyrządzić krzywdę jednemu poecie, w którego żyłach płynie być może jednak kropla prawdziwej parnasowej krwi.

Zajmowałem się głównie malowaniem i chińskimi metodami magicznymi, w następnych latach coraz bardziej jednak pochłaniała mnie muzyka. Ambicją mojego późniejszego życia stało się napisanie czegoś w rodzaju opery, w której ludzkie życie w swojej tak zwanej rzeczywistości byłoby potraktowane niezbyt poważnie, a nawet wyszydzone, jaśniałoby natomiast w swej wiekuistej wartości jako obraz i zwiewna szata bóstwa. Magiczna wizja życia zawsze była mi bliska, nigdy nie byłem „nowoczesnym człowiekiem” i zawsze uważałem *Złoty garnek Hoffmanna* albo nawet *Henryka von Ofterdingen* za cenniejsze podręczniki niż wszelkie dzieje świata i historie naturalne (a raczej nawet w nich, jeśli takowe czytałem, zawsze widziałem zachwycające zmyślenia). Teraz jednak zaczął się w

moim życiu ów okres, kiedy nie ma już sensu coraz bardziej rozbudowywać i różnicować gotowej i wystarczająco zróżnicowanej osobowości, a zamiast tego pojawia się zadanie sprawienia, by cenne Ja ponownie pograżyło się w świecie, i włączenia się, w obliczu przemijalności, w wieczny i pozaczasowy porządek. Wyrażenie tych myśli albo życiowych nastrojów wydawało mi się możliwe jedynie za pomocą bajki, a za najwyższą formę bajki uważałem operę, być może dlatego, że nie potrafiłem już naprawdę wierzyć w magię słowa w naszym sponiewieranym i umierającym języku, podczas gdy muzyka wciąż jeszcze ukazywała mi się jako żyjące drzewo, na którego gałęziach również dzisiaj rosnać mogły rajskie jabłka. Chciałem w mojej operze uczynić to, co nigdy nie udało mi się w pełni w utworach literackich: nadać ludzkiemu życiu wzniosły i zachwycający sens. Chciałem wychwalać niewinność i niewyczerpalność natury oraz przedstawić jej pochodź aż po miejsce, gdzie z powodu nieuchronnego cierpienia zmuszona jest zwrócić się do ducha, swego odległego przeciwnego bieguna – oscylowanie życia między obydwojma biegunami natury i ducha miało się jawić jako pogodne, rozigrane i doskonałe niczym rozpięty łuk tęczy.

Tylko że niestety nigdy nie udało mi się ukończyć tej opery. Poszło mi z nią tak jak z poezją. Poezję musiałem porzucić, kiedy stwierdziłem, że wszystko, co wydawało mi się godne powiedzenia, zostało już tysiąc razy czyściej powiedziane w *Złotym garnku* i *Henryku von Ofterdingen*, niż ja byłbym w stanie to uczynić. Tak samo poszło mi teraz z moją operą. Właśnie kiedy ukończyłem długoletnie studia przygotowawcze i sporządziłem kilka szkiców libretta, a następnie usiłowałem raz jeszcze możliwie dogłębnie wyobrazić sobie właściwy sens i zawartość mego dzieła, wówczas nagle uświadomiłem sobie, że nie usiłowałem osiągnąć w swojej operze niczego innego jak to, co już dawno zostało wspaniale rozwiązane w *Czarodziejskim flecie*.

Odłożyłem zatem tę pracę na bok i zwróciłem się teraz całkowicie ku praktykom magicznym. Jeśli moje marzenie o zostaniu artystą było urojeniem, jeśli nie byłem zdolny do napisania *Złotego garnka* ani *Czarodziejskiego fletu*, to jednak urodziłem się na czarodzieja. Już dawno temu wystarczająco daleko zabrnąłem na wschodniej drodze Lao Tse i I Czing, by dokładnie poznać przypadkowość i zmienność tak zwanej rzeczywistości. Teraz za pomocą magii naginałem rzeczywistość wedle swego upodobania i muszę powiedzieć, że sprawiało mi to wiele radości. Muszę jednak również wyznać, że nie zawsze ograniczałem się do owych miłych ogrodów, które nazywa się białą magią, lecz że od czasu do czasu żywy płomyk we mnie zaciągał mnie również na czarną stronę.

W wieku ponad siedemdziesięciu lat, wkrótce po tym, jak dwa uniwersytety wyróżniły mnie przyznaniem honorowego doktoratu, zostałem postawiony przed sądem za uwiedzenie przy pomocy czarów młodej dziewczyny. W więzieniu poprosiłem o zezwolenie na zajęcie się malarstwem. Wyrażono na to zgodę. Przyjaciele przynieśli mi farby oraz przybory do malowania i namalowałem na ścianie mojej celi mały pejzaż. Raz jeszcze powróciłem zatem do sztuki i żadne klęski, jakie przeżyłem już jako artysta, nie mogły mi przeszkodzić w wychyleniu po raz wtóry tego najmilejszego pucharu, w zbudowaniu raz jeszcze jak bawiące się dziecko umiłowanego świata zabawy i nasycenia nim mego serca, w odrzuceniu raz jeszcze od siebie wszelkiej mądrości i abstrakcji i odnalezieniu prymitywnej rozkoszy płodzenia. Malowałem zatem znowu, mieszałem farby i zanurzałem w nich pędzel, raz jeszcze chłonąc z zachwytem wszystkie te nieskończone czary: jasny, radosny ton cynobru, pełny, czysty ton żółci, głęboki, wzruszający błękitu i muzykę ich melanży, aż po najodleglejszą, najbledszą szarość. Szczęśliwie i po dziecięcemu oddawałem się swej grze w tworzenie i w ten sposób namalowałem pejzaż na ścianie mojej celi. Pejzaż ten zawierał prawie wszystko, co sprawiało mi w życiu radość, rzeki i góry, morze i obłoki, chłopów przy żniwach i mnóstwo innych pięknych rzeczy, którymi się rozkoszowałem. Przez środek obrazu jechał maleńki pociąg. Pędził on w stronę góry i tkwił już czołem w górze jak robak w jabłku, lokomotywa wjechała do małego tunelu, z którego ciemnego, zaokrąglonego wylotu wydobywał się postrzępiony dym.

Jeszcze nigdy moja zabawa nie zachwyciła mnie tak jak tym razem. Przez ten powrót do sztuki zapomniałem nie tylko o tym, że jestem więźniem i oskarżonym oraz że mam niewielkie widoki na dokonanie żywota gdzie indziej niż w więzieniu – często zapominałem nawet o magicznych ćwiczeniach i wydawałem się sobie już w wystarczającym stopniu czarodziejem, kiedy cienkim pędzlem stwarzałem maleńkie drzewko albo jasny obłoczek.

Tymczasem tak zwana rzeczywistość, z którą istotnie byłem teraz całkowicie skłócony, ze wszech sił starała się wyszydzać moje marzenie i wciąż na nowo je niszczyć. Niemal co dzień przychodzono po mnie, prowadzono mnie pod strażą do nadzwyczaj niesympatycznych pomieszczeń, gdzie pośród wielu papierzysk siedzieli niesympatyczni ludzie, którzy mnie wypytywali, nie chcieli mi wierzyć, krzyczeli na mnie, traktowali to jak trzyletnie dziecko, to znów jak kutego na cztery nogi przestępcę. Nie trzeba być oskarżonym, żeby poznać ten osobliwy i naprawdę piekielny świat kancelarii, papierów i akt. Ze wszystkich piekieł, jakie człowiek z przedziwnych powodów musiał sobie stworzyć, to wydawało mi się zawsze najbardziej piekielne. Wystarczy, byś chciał się przeprowadzić albo ożenić, zapragnął uzyskać paszport albo zaświadczenie o obywatelstwie, a już stoisz w środku tego piekła, musisz spędzić uprzykrzone godziny w dusznej sali

tego papierowego świata, jesteś wypytywany i besztany przez znudzonych, a jednak śpieszących się, źle usposobionych ludzi, dla swych najprostszych i najprawdziwszych wypowiedzi znajdujesz jedynie niedowierzenie, jesteś traktowany to jak uczeń, to jak przestępca. Cóż, każdy to przecież zna. Już dawno udusiłbym się i usechł w tym papierowym piekle, gdyby moje farby wciąż na nowo nie pocieszały mnie i nie przynosiły zadowolenia i gdyby mój obraz, mój mały piękny pejzaż nie dawał mi znowu powietrza i życia.

Przed tym obrazem stałem kiedyś w moim więzieniu, kiedy strażnicy znowu przybiegli ze swoimi nudnymi wezwaniem i chcieli mnie oderwać od szczęśliwej pracy. Odczułem wówczas zmęczenie i coś w rodzaju obrzydzenia do całego tego zamieszania, całej tej brutalnej i bezdusznej rzeczywistości. Wydawało mi się, że nadszedł czas, by położyć kres cierpieniu. Jeśli nie wolno mi było oddawać się w spokoju moim niewinnym artystycznym zabawom, to musiałem się posłużyć owymi poważniejszymi sztukami, którym poświęciłem tak wiele lat życia. Bez magii ten świat był nie do zniesienia.

Przypomniałem sobie chińską formułę, przez minutę stałem ze wstrzymanym oddechem i oderwałem się od urojenia rzeczywistości. Następnie przyjaźnie poprosiłem strażników o jeszcze chwilę cierpliwości, ponieważ muszę wsiąść do pociągu na moim obrazie i coś w nim sprawdzić. Zaśmiali się tak jak zwykle, ponieważ uważali mnie za umysłowo chorego.

Wtedy zmniejszyłem się i wszedłem do swojego obrazu, wsiadłem do małego pociągu i wjechałem nim do małego czarnego tunelu. Przez chwilę widać jeszcze było postrzępiony dym, wydobywający się z okrągłego otworu, po czym dym rozsnuł się i rozwiął, a wraz z nim cały obraz, a wraz z nim i ja.

Strażnicy w wielkim zakłopotaniu pozostali z tyłu.

Miasto

– Sprawy posuwają się naprzód! – wykrzyknął inżynier, kiedy po ułożonym poprzedniego dnia nowym odcinku torów przybył już drugi pociąg pełen ludzi, węgla, narzędzi i żywności. Preria jarzyła się cicho w żółtym świetle słońca, sine i zamglone stały na horyzoncie wysokie lesiste góry. Dzikie psy i zdumione preriowe bawoły patrzyły, jak na pustkowiu rozpoczyna się praca i krzątania, jak na zielonych polach pojawiają się zwały węgla i popiołu, papieru i blachy. Pierwszy hebel zazgrzytał w przerażonej okolicy, pierwszy wystrzał z fuzji huknął i przebrzmiał nad górami, pierwsze kowadło zadzwoniło jasnym tonem pod szybkimi uderzeniami młota. Powstał dom z blachy, nazajutrz następny z drewna, a potem inne, co dzień nowe, wkrótce również murowane. Dzikie psy i bawoły trzymały się z dala, okolica stała się obłaskawiona i urodzajna, już pierwszej wiosny równiny falowały, pełne zielonych ziemioplodów, i wznosiły się na nich zagrody, stodoły i szopy, drogi przecinały pustkowie.

Ukończono i uroczyście oddano do użytku dworzec, a także budynek rządowy i bank, w pobliżu wyrosło kilka młodszych zaledwie o parę miesięcy miast siostrzanych. Przybywali robotnicy z całego świata, chłopci i miastowi, przybywali kupcy i adwokaci, kaznodzieje i nauczyciele, założono szkołę, trzy wspólnoty religijne, dwie gazety. Na zachodzie odkryto źródła oleju ziemnego, do młodego miasta zawitał wielki dobrobyt. Jeszcze rok i pojawili się złodzieje kieszonkowi, sutenerzy, włamywacze, dom towarowy, związek antyalkoholowy, paryski krawiec i bawarska piwiarnia. Konkurencja sąsiednich miast spowodowała przyspieszenie tempa. Niczego już nie brakowało, od mowy wyborczej po strajk, od kinoteatru po towarzystwo spirytystyczne. W mieście można było dostać francuskie wino, norweskie śledzie, włoskie kiełbasy, angielskie tkaniny, rosyjski kawior. Na gościnne występy przybywali już drugorzędni śpiewacy, tancerze i muzycy.

I powoli pojawiła się również kultura. Miasto, które początkowo było jedynie skupiskiem ludzi, zaczęło się stawać małą ojczyzną. Istniał tu sposób witania się, kiwania głową przy spotkaniu, który różnił się nieznacznie i subtelnie od sposobu, w jaki czyniono to w innych miastach. Mężczyźni, którzy brali udział w założeniu miasta, cieszyli się szacunkiem i sympatią, wzięła od nich początek drobna szlachta. Wyrosło młode pokolenie, któremu miasto wydawało się już starą, niemal od zawsze istniejącą ojczyzną. Czas, kiedy zadźwięczało tutaj pierwsze uderzenie młota, popełniono pierwsze morderstwo, odprawiono

pierwsze nabożeństwo, wydrukowano pierwszą gazetę, był już odległą przeszłością, należał do historii.

Miasto podporządkowało sobie sąsiednie miasta i wyrosło na stolicę wielkiego regionu. Przy szerokich, jasnych ulicach, gdzie kiedyś wśród kup popiołu i kałuż stały pierwsze chaty z desek i falistej blachy, wznosiły się teraz poważnie i godnie urzędy i banki, teatry i kościoły. Studenci chodzili niespiesznie na uniwersytet i do biblioteki, ambulanse jeździły cicho do klinik, dostrzegano i pozdrawiano samochód posła do parlamentu, w dwudziestu potężnych budynkach szkolnych z kamienia i żelaza co roku fetowano śpiewem i odczytami dzień założenia sławnego miasta. Dawna preria pokryta była polami, fabrykami, wsiami i przecięta dwudziestoma liniami kolei żelaznej, góry przybliżyły się i za sprawą kolei górskiej otwały aż po serce wąwozów. Tam albo daleko nad morzem bogacze mieli swoje domy letniskowe.

W sto lat po założeniu całe miasto z wyjątkiem niewielkich jego części zostało zburzone przez trzęsienie ziemi. Podniosło się na nowo, i wszystko, co wcześniej było drewniane, stało się teraz kamienne, wszystko, co było małe, stało się duże, wszystko, co wąskie – szerokie. Dworzec był największy w kraju, giełda największa w całej tej części świata, architekci i artyści przyozdobili odmłodzone miasto publicznymi gmachami, zieleńcami, fontannami i pomnikami. W ciągu tego nowego stulecia miasto zyskało sobie sławę najpiękniejszego i najbogatszego w kraju oraz godnej obejrzenia osobliwości. Politycy i architekci, technicy i burmistrzowie innych miast przyjeżdżali, by studiować budowle, wodociągi, administrację oraz inne urządzenia słynnego miasta. Mniej więcej w tym czasie zaczęto wznosić nowy ratusz, jeden z największych i najwspanialszych budynków na świecie, a ponieważ ten okres rodzącego się bogactwa i miejskiej dumy zbiegł się szczęśliwie z powszechnym rozkwitem gustu, a przede wszystkim sztuki budowlanej i rzeźbiarstwa, szybko rosnące miasto stało się śmiałym i miłym dla oka cudem. Rejon wewnętrzny, którego budynki bez wyjątku wzniesione były ze szlachetnego, jasnoszarego kamienia, otaczał szeroki pas wspaniałych plantów, a poza tym kręgiem szeroko rozrzucone drogi i domy gubiły się powoli w wolnej przestrzeni i wiejskości. Często odwiedzano i podziwiano ogromne muzeum, w którego stu salach, podwórcach i holach przedstawiona została historia miasta od czasu jego powstania aż po najnowszy rozkwit. Pierwszy, olbrzymi dziedziniec muzealnego założenia przedstawiał dawną prerię, z zadbanymi roślinami i zwierzętami oraz dokładnymi kopiami najwcześniejszych nędznych domostw, uliczek i urządzeń. Przechadzała się tam miejska młodzież, oglądając bieg własnych dziejów, począwszy od namiotu i drewnianej szopy, od pierwszej nierównej drogi żelaznej po blichtr wielkomiejskich ulic. I uczyła się przy tym, oprowadzana i instruowana przez nauczycieli,

pojmowania wspaniałego prawa rozwoju i postępu – jak z czegoś surowego powstaje wyrefinowanie, ze zwierzęcia człowiek, z dzikusa ktoś wykształcony, z niedostatku nadmiar, z natury kultura.

W następnym stuleciu miasto osiągnęło szczyt świetności, która przerodziła się w wielki i szybko narastający zbytek, aż krwawa rewolucja niższych stanów położyła temu kres. Motłoch zaczął od podpalenia wielu dużych zakładów naftowych, położonych o kilka mil za miastem, tak że wielka część kraju, wraz z fabrykami, gospodarstwami i wsiami, bądź spłonęła, bądź też się wyludniła. Samo miasto doświadczyło wprawdzie wszelkiego rodzaju rzezi i okrucieństw, lecz przetrwało i w spokojniejszych dziesięcioleciach powoli doszło znowu do siebie, choć nie mogło już sobie pozwolić na dawne wystawne życie i budowanie. Podczas ciężkich dla niego czasów za morzem rozkwitł nagle pewien daleki kraj, który dostarczał zboża i żelaza, srebra i innych skarbów z obfitością niewyjałowionej ziemi, jeszcze chętnie wydającej owoce. Nowy kraj gwałtownie przyciągał ku sobie leżące odłogiem siły, dążenia i pragnienia starego świata, miasta wykwiwały tam z ziemi z dnia na dzień, lasy znikwały, wodospady były poskramiane.

Piękne miasto zaczęło powoli ubożeć. Nie było już sercem i mózgiem świata ani rynkiem i giełdą wielu krajów. Musiało być zadowolone z tego, że utrzymuje się przy życiu i zupełnie nie obumiera wśród zgiełku nowych czasów. Bezczyne siły, o ile nie odpłynęły do dalekiego nowego świata, nie miały już czego budować ani zdobywać, posiadały też niewiele rzeczy, którymi mogłyby handlować i zarabiać na nich. Na glebie starej kultury zaczęło za to kiełkować życie duchowe, w coraz bardziej ucichającym mieście rodzili się uczeni i artyści, malarze i poeci. Potomkowie tych, którzy niegdyś na młodej ziemi budowali pierwsze domy, z uśmiechem pędzili swe dni w spokojnym, późnym rozkwicie duchowych rozkoszy i dążeń, malowali melancholijny przepych starych, porośniętych mchem ogrodów z wietrzejącymi posągami i zielonymi stawami, śpiewając subtelne wersy o odległym zgiełku dawnych bohaterskich czasów albo o cichych snach znużonych ludzi w starych pałacach.

Dzięki temu imię i sława tego miasta raz jeszcze rozbrzmiały w świecie. Gdzieś tam narodami mogły wstrząsać wojny i zaprzętać je wielkie prace, tutaj pozwalano w umilkłym osamotnieniu panować pokojowi i cicho zmierzchać blaskowi minionych czasów: spokojnym ulicom ocienionym kwitnącymi gałęziami, wyblakłym fasadom potężnych budowli śniącym ponad wolnymi od zgiełku placami, omszałym konchom fontann spryskiwanym wśród cichej muzyki przez figlarne wody.

Przez niejedno stulecie stare śniące miasto było dla młodszego świata czcigodnym i umiłowanym miejscem, opiewanym przez poetów i odwiedzanym przez zakochanych. Życie ludzkości parło jednak coraz potężniej ku innym częściom świata. A w samym mieście potomkowie starych miejscowych rodzin zaczęli wymierać albo podupadać. Również ostatni duchowy rozkwit już dawno osiągnął kres, pozostała tylko butwiejąca tkanka. Dawno też zupełnie zniknęły sąsiednie mniejsze miasta, przeobrażając się w spokojne ruiny, odwiedzane czasem przez zagranicznych malarzy i turystów, a czasem zamieszkiwane przez Cyganów albo zbiegłych przestępców.

Po kolejnym trzęsieniu ziemi, które tym razem oszczędziło miasto, bieg rzeki uległ przesunięciu i jedna część spustoszonego kraju stała się bagniskiem, druga zaś wyschła. A z gór, gdzie rozsypywały się pozostałości prastarych kamiennych mostów i wiejskich domów, powoli zstępował las, stary las. Zobaczył, że rozległa okolica leży pusta, i wciągał ją powoli, kawałek po kawałku, w swój zielony krąg, tu powlekając bagno szeleszczącą zielenią, tam okrywając kamienne rumowisko młodymi, nieustępliwymi drzewami iglastymi.

W końcu w mieście nie pozostali już żadni mieszcianie, a jedynie pospólstwo, nieprzyjazny, dziki lud, który znalazł schronienie w pochylonych, wałących się pałacach z zamierzchłych czasów i w dawnych ogrodach oraz na ulicach wypasał swoje kozy. Również ta ostatnia ludność wymierała stopniowo na skutek chorób i z tępoty, a cała okolica, od czasu zabagnienia nawiedzana przez febrę, zupełnie opustoszała.

Ruina starego ratusza, który był niegdyś dumą swoich czasów, stała wciąż jeszcze, wysoka i potężna, opiewana w pieśniach we wszystkich językach, stanowiąc źródło niezliczonych legend dla sąsiednich narodów, których miasta również już dawno podupadły i których kultura uległa wynaturzeniu. W opowiadanych dzieciom historiach o upiorach i w melancholijnych piosnkach pasterskich, zniekształcone i wykoślawione, pojawiały się jeszcze widmowo nazwy miasta i jego miniona świetność, a uczeni odległych narodów, znajdujących się teraz w rozkwicie, odbywali czasem niebezpieczne podróże badawcze do ruin, o których tajemnicach uczniacy z dalekich krajów żarliwie dyskutowali. Miały się tam znajdować szczerozłote wrota i nagrobki wysadzone klejnotami, a dzikie plemiona nomadów z tamtych okolic przechowały ponoć z dawnych, bajecznych czasów zaginione resztki tysiącletniej sztuki czarnoksiężskiej.

Las zstępował jednak nadal z gór na równinę, jeziora i rzeki powstawały i przemijały, a las posuwał się naprzód, zagarniając i powoli okrywając całą

krainę, pozostałości starych murów przydrożnych, pałaców, świątyń i muzeów, a pustkowie zaludniały lisy i kuny, wilki i niedźwiedzie.

Na jednym z zawalonych pałaców, z którego ani jeden kamień nie pozostał na widoku, rosła młoda sosna, która jeszcze przed rokiem była najbardziej wysuniętą do przodu zwiastunką i wysłanniczką nadciągającego lasu. Teraz jednak również ona spoglądała znowu na szeroki obszar młodej roślinności.

– Sprawy posuwają się naprzód! – wykrzyknął młody dzieciół stukający w pień i spojrzał z zadowoleniem na rosnący las i wspaniały, zieleniący się postęp na ziemi.

Bajka o wiklinowym krześle

Młody człowiek siedział na swoim samotnym poddaszu. Miał ochotę zostać malarzem; istniały tu jednak niemałe trudności do pokonania i na razie mieszkał spokojnie na poddaszu. Stał się nieco starszy i przywykł do przesiadywania godzinami przed małym lustrem i rysowania dla wprawy autoportretu. Zapełnił już podobnymi rysunkami cały zeszyt i z niektórych był bardzo zadowolony.

„Zważywszy, że nie pobierałem dotychczas żadnej nauki – mówił do siebie samego – ten szkic jest właściwie bardzo udany. I cóż za interesująca bruzda koło nosa. Widać, że mam w sobie coś z myśliciela czy kogoś w tym rodzaju. Muszę jedynie ściągnąć kąciki ust nieznacznie w dół, a wówczas pojawia się taki szczególny, wręcz melancholijny wyraz”.

Tylko że kiedy znowu oglądał rysunki jakiś czas później, zwykle zupełnie już mu się nie podobały. Było to nieprzyjemne, ale wywnioskował z tego, że czyni postępy i stawia sobie coraz wyższe wymagania.

Ze swoim poddaszem oraz z rzeczami, jakie stały i leżały na jego poddaszu, ów młody człowiek żył w niezupełnie pożądanym i serdecznym, ale jednak nie w złym stosunkach. Nie był wobec nich bardziej lub mniej niesprawiedliwy niż większość ludzi, ledwie je dostrzegał i słabo znał.

Kiedy znowu niezbyt udawał mu się autoportret, czytał czasami książki, z których się dowiadywał, jak powiodło się innym ludziom, którzy podobnie jak on zaczęli jako skromni i nieznanymi nikomu młodzieńcy, a potem stawali się bardzo sławni. Chętnie czytał takie książki i wyczytywał z nich własną przyszłość.

Pewnego dnia znowu siedział nieco markotny i przygnębiony w domu i czytał o pewnym bardzo sławnym holenderskim malarzu. Czytał, że malarz ów opętany był prawdziwą namiętnością, a nawet szaleł, całkowicie owładnięty jednym jedynym pragnieniem stania się dobrym malarzem. Młody człowiek stwierdzał, że sporo podobieństw łączy go z tym holenderskim malarzem. Czytając dalej, odkrywał rozmaite rzeczy, które mniej do niego pasowały. Przeczytał między innymi, jak ów Holender przy złej pogodzie, kiedy nie można było malować na dworze, niewzruszony odmalowywał z namiętnością wszystko, nawet najbardziej niepozorne rzeczy, jakie wpadły mu w oko. Kiedyś na przykład namalował parę starych chodaków, a kiedy indziej stare, koślawe krzesło, toporne, surowe chłopskie krzesło kuchenne ze zwykłego drewna, z wyplatany

słomy, porządnie wystrzępionym siedzeniem. To krzesło, którego z pewnością żaden inny człowiek nigdy nie zaszczyliłby spojrzeniem, ów malarz namalował z tak wielką miłością i wiernością, z taką namiętnością i oddaniem, że obraz ten stał się jednym z jego najpiękniejszych dzieł. Autor miał do powiedzenia o namalowanym krześle wiele pięknych, wręcz poruszających rzeczy.

Tutaj czytający zatrzymał się i zamyślił. Oto było coś nowego, czego musiał spróbować. Postanowił natychmiast – bo był młodym człowiekiem nadzwyczaj szybko podejmującym decyzje – pójść za przykładem wielkiego mistrza i spróbować tej samej drogi do wielkości.

Rozejrzał się zatem po poddaszu i stwierdził, że właściwie jeszcze dość mało przyglądał się rzeczom, wśród których mieszkał. Koślawego krzesła z wyplatany ze słomy siedzeniem nigdzie nie znalazł, nie stały tam również żadne chodaki, przez chwilę był z tego powodu zmartwiony i zniechęcony, znowu czuł się niemalże tak, jak już nader często w przeszłości, gdy czytając o życiu wielkich ludzi, tracił otuchę; stwierdzał wówczas, że wszystkie drobiazgi i znaki oraz osobliwe zrządzania losu, które w życiu tych innych odgrywały tak piękną rolę, w jego przypadku nie pojawiały się, na próżno kazały na siebie czekać. Wkrótce jednak znowu zebrał się w sobie i zrozumiał, że teraz dopiero naprawdę jest jego zadaniem uparcie podążać ciężką drogą ku sławie. Przyjrzał się bacznie wszystkim przedmiotom w swoim pokoiku i odkrył wiklinowe krzesło, które z powodzeniem mogło mu służyć za model.

Przyciągnął krzesło nogą nieco bliżej do siebie, za temperował swój artystyczny ołówek, ułożył szkicownik na kolanach i zaczął rysować. Kilka pierwszych delikatnych linii zdawało się dostatecznie ukazywać formę. Zaczął teraz wykonywać szybkie i mocne pociągnięcia i kilkoma kreskami grubo obrysował kontury. Kusił go głęboki trójkątny cień w jednym z rogów, zaznaczył go więc intensywnie – i w ten sposób rysował dalej do czasu, aż coś zaczęło mu przeszkadzać.

Przez krótką chwilę jeszcze kontynuował pracę, po czym przytrzymał zeszyt w wyciągniętej ręce i uważnie przyjrzał się swojemu rysunkowi. Zobaczył wówczas, że plecione wiklinowe krzesło jest bardzo źle narysowane.

Gniewnie nakreślił nową linię, po czym z wściekłością utkwiał wzrok w krześle. Coś się nie zgadzało. To wzbudziło jego złość.

– Ty szatańskie wiklinowe krzesło – wykrzyknął gwałtownie – równie kapryśnego bydlęcia doprawdy jeszcze nigdy nie widziałem!

Krzesło zatrzeszczało cicho i odparło obojętnie: – Ależ przyjrzyj mi się tylko! Jestem takie, jakie jestem, i już się nie zmienię!

Malarz trącił je czubkiem stopy. Krzesło cofnęło się i teraz znowu wyglądało zupełnie inaczej.

– Głupie krześlisko – zawołał młodzieniec – przecież wszystko w tobie jest pogiete i krzywe.

Wiklinowe krzesło nieznacznie się uśmiechnęło i rzekło łagodnie: – To nazywa się perspektywa, młody człowieku.

Na to młodzieniec aż podskoczył. – Perspektywa! – wykrzyknął z wściekłością. – Przychodzi takie krześlisko-oślisko i chce odgrywać nauczyciela! Perspektywa to moja rzecz, a nie twoja, zapamiętaj to sobie!

Krzesło nic już na to nie powiedziało. Malarz kilkakrotnie przeszedł się energicznie tam i z powrotem, aż ktoś gniewnie zastukał od dołu w jego podłogę. Na dole mieszkał starszy mężczyzna, uczony, który nie znosił hałasu.

Malarz usiadł i ponownie zabrał się do swojego ostatniego autoportretu. Ale mu się on nie podobał. Uważał, że w rzeczywistości wygląda ładniej i bardziej interesująco, i naprawdę tak było.

Teraz chciał dalej czytać swoją książkę. Ale napisano w niej jeszcze więcej o owym holenderskim słomianym krześle i to go zirytowało. Uważał, że robi się zbyt wiele hałasu o to krzesło i w ogóle...

Młodzieniec poszukał swojego artystycznego kapelusza i postanowił na trochę wyjść z domu. Przypomniawszy sobie, że już dość dawno temu jego uwagę zwrócił niezadowolający charakter malarstwa. Człowieka spotykały tu same utrapienia i rozczarowania, a w końcu nawet najlepszy malarz na świecie był w stanie przedstawić jedynie zwykłą powierzchnię rzeczy. Dla człowieka kochającego głębię nie był to koniec końców żaden zawód. I znowu, jak już nieraz wcześniej, zaczął poważnie rozważać myśl, by ulec dawnej skłonności i zostać jednak raczej pisarzem. Wiklinowe krzesło pozostało samo na poddaszu. Było mu przykro, że jego młody pan już sobie poszedł. Miało nadzieję, że wreszcie zostaną nawiązane między nimi należyte stosunki. Bardzo chętnie powiedziałoby czasem słowo i wiedziało, że mogłoby nauczyć młodego człowieka niejednej cennej rzeczy. Ale niestety nic z tego nie wyszło.

Europejczyk

Baśń

W końcu Bóg, nasz Pan, okazał zmiłowanie i ziemskiej epoce, która zakończyła się krwawą światową wojną, również położył kres, zsyłając wielki potop. Wodne odmęty litościwie splukiwały wszystko, co bezcześciło starzejącą się planetę, krwawe pola śnieżne i najeżone armatami góry, rozkładające się trupy wraz z tymi, którzy je oplakiwali, wzburzonych i żądnych mordy wraz ze zubożałymi, głodujących z tymi, którym pomieszały się zmysły.

Błękitne niebiosa spoglądały przyjaźnie w dół na lśniący glob.

Europejska technika aż do końca świetnie się zresztą spisywała. Całymi tygodniami Europa rozważnie i wytrwale dawała odpór powoli przybierającej wodzie. Najpierw za pomocą ogromnych zapór, przy których dniem i nocą pracowały miliony jeńców wojennych, potem za pomocą sztucznych wzniesień, które wyrastały w bajecznym tempie i z początku przypominały olbrzymie tarasy, później jednak wypiętrzały się w wieże. W wieżach tych ludzki heroizm bronił się ze wzruszającym poświęceniem aż po ostatni dzień. Podczas gdy Europa i cały świat były już zalane i utopione, z ostatnich sterczących w górę żelaznych wież oślepiająco i niewzruszenie przez wilgotny zmierzch pograżającej się ziemi bity światła reflektorów, a tu i tam z dział eleganckimi łukami wylatywały granaty. Na dwa dni przed końcem przywódcy mocarstw centralnych postanowili skierować do wrogów za pomocą sygnałów świetlnych propozycję zawarcia pokoju. Wrogowie zażądali jednak natychmiastowego opuszczenia stojących jeszcze warownych wież, a na to nie mogli przystać nawet najbardziej zdecydowani zwolennicy pokoju. Tak więc strzelano bohatersko aż do ostatniej godziny.

Teraz cały świat był zalany. Jedyne ocalały Europejczyk unosił się na falach w pasie ratunkowym i resztką sił spisywał wydarzenia ostatnich dni, by potomność wiedziała, że to jego ojczyzna o kilka godzin przetrwała upadek ostatnich wrogów i w ten sposób po wieczne czasy zapewniła sobie palmę zwycięstwa.

Wówczas na szarym horyzoncie ukazał się ociężały statek, czarny i olbrzymi, który powoli zbliżał się do wycieńczonego rozbitka. Z zadowoleniem rozpoznał potężną arkę i zanim stracił przytomność, ujrzał stojącego na pokładzie pływającego domu rosłego sędziwego patriarchę z rozwianą srebrną

brodą. Ogromny Murzyn wyłowił dryfującego mężczyznę, który żył i wkrótce doszedł do siebie. Patriarcha uśmiechał się przyjaźnie. Jego dzieło się powiodło, ze wszystkich gatunków ziemskich istot uratowano po jednym egzemplarzu.

Kiedy arka płynęła wolno, popychana przez wiatr, oczekując opadnięcia mętnych wód, na pokładzie rozwinęło się bujne życie. Za statkiem podążały gęste ławice wielkich ryb, a nad otwartym dachem w barwnych, bajecznie pięknych eskadrach przelatywały ptaki i owady, każde zwierzę i każdego człowieka wypełniała głęboka radość, że został uratowany i zachowany dla nowego życia. Barwny paw głośno i przenikliwie wyskrzeczwał ponad wodami swój poranny okrzyk, radosny słoń ze śmiechem spryskał siebie i swoją samicę prysznicem wody z wyciągniętej w górę trąby, lśniąca jaszczurka siedziała na osłonecznionej belce; Indianin przeszywał szybkim uderzeniem włóczni połyskujące ryby w nieskończonym bezmiarze wód, Murzyn wykrzeszał przy palenisku ogień z suchych kawałków drewna i z radości uderzał rytmicznie swą tłustą żonę po wydających klaszczący odgłos udach, Hindus stał chudy i wyprostowany ze złożonymi na piersi ramionami i mrucał pod nosem prastare wersety z pieśni o stworzeniu świata. Eskimos leżał, parując na słońcu, i wypacał z siebie wodę i tłuszcz, śmiejąc się małymi oczkami, obwąchiwany przez dobrodusznego tapira, a mały Japończyk wystrugał sobie cienki patyk i zaczął nim uważnie balansować to na nosie, to na podbródku. Europejczyk, używając swoich przyborów piśmiennych, sporządzał inwentarz wszystkich znajdujących się na arce istot.

Tworzyły się grupy i nawiązywały przyjaźnie, a gdzie zanosilo się na spór, patriarcha zażegnywał go skinieniem ręki. Wszystkie istoty były towarzyskie i wesołe; jedynie Europejczyk samotnie zajmował się swoją pisaniną.

Tymczasem wśród wielobarwnych ludzi i zwierząt narodziła się nowa zabawa, podczas której każdy chciał we współzawodnictwie z innymi zademonstrować własne umiejętności i sztuczki. Wszyscy chcieli być pierwsi i patriarcha musiał zaprowadzić porządek. Ustawił osobno duże zwierzęta, osobno małe i osobno ludzi. Każdy musiał się zameldować i wymienić dokonanie, którym zamierzał zabłysnąć, po czym występowali jeden po drugim.

Ta znakomita zabawa trwała przez wiele dni, gdyż coraz to któraś grupa gdzieś biegła, przerywając swoją grę, żeby przyjrzeć się innej. A każdy piękny wyczyn nagradzany był przez wszystkich głośnymi oklaskami. Ileż wspaniałych rzeczy było do obejrzenia! Jakże każde stworzenie Boże pokazywało, co za zdolności są w nim ukryte! Jakże objawiało się bogactwo życia! Jakże się śmiano, jak wykrzykiwano, piano, klaskano, tupano i rżano w aplauzie!

Cudownie biegła łasica i czarownie śpiewał skowronek, wspaniale maszerował nadęty indyk i niewiarygodnie zwinnie wspinała się wiewiórka. Mandryl naśladował Malaja, a pawian mandryla! Biegacze i wspinacze, pływacy i lotnicy współzawodniczyli niestrudzenie, a każdy z nich był na swój sposób niepokonany i zjednywał sobie uznanie. Były zwierzęta, które potrafiły oddziaływać czarami, i zwierzęta, które umiały się stawać niewidzialne. Wiele wyróżniało się siłą, wiele przebiegłością, niektóre atakiem, inne obroną. Owady potrafiły się chronić, przybierając wygląd trawy, drewna, mchu albo skalnego kamienia, a inne spośród słabych zwierząt zyskiwały poklask i zmuszały śmiejących się widzów do ucieczki, broniąc się przed atakiem straszliwymi zapachami. Nikt nie pozostawał w tyle, nikt nie był pozbawiony zdolności. Wito, lepiono, tkano i murowano ptasie gniazda. Drapieżne ptaki potrafiły z niebotycznej wysokości rozpoznać najmniejszą rzecz.

Również ludzie znakomicie się spisywali. Warto było popatrzeć, jak lekko i bez wysiłku wielki Murzyn biegł po belce w górę, jak Malaj trzema chwytami robił z palmowego liścia wiosło i potrafił sterować oraz skręcać na maleńkiej desce. Indianin trafiał lekką strzałą w najmniejszy cel, a jego squaw z dwóch rodzajów łyka utkała matę, która wzbudziła wielki podziw. Wszyscy długo milczeli i przyglądali się ze zdumieniem, kiedy Hindus wystąpił naprzód i zademonstrował kilka czarodziejskich sztuczek. Chińczyk natomiast pokazał, jak dzięki pracowitości można potroić zbiory pszenicy, wyciągając zupełnie młode roślinki z ziemi i rozsadzając je w równych odstępach.

Europejczyk, który cieszył się zdumiewająco małą sympatią, wielokrotnie wywoływał oburzenie swoich ludzkich kuzynów, krytykując wyczyny innych surowymi i pogardliwymi sądami. Kiedy Indianin zestrzelił lecącego wysoko na błękitnym niebie ptaka, biały człowiek wzruszył ramionami i stwierdził, że przy użyciu dwudziestu gramów dynamitu strzela się trzy razy wyżej! A kiedy go poproszono, żeby to zademonstrował, nie potrafił tego uczynić, lecz tylko opowiadał, że gdyby miał to, tamto i owo, i jeszcze dziesięć innych rzeczy, wówczas mógłby to zrobić. Szydlił również z Chińczyka, mówiąc, że przesadzanie młodych pędów pszenicy z pewnością wymaga nieskończonej pracowitości, ale przecież tak niewolnicza praca nie może uczynić żadnego narodu szczęśliwym. Chińczyk wśród oklasków odparł, że szczęśliwy jest naród, który ma co jeść i czci bogów; ale Europejczyk i z tego śmiał się szyderczo.

Wesołe współzawodnictwo trwało nadal i w końcu wszyscy, zwierzęta i ludzie, pokazali swoje talenty i sztuki. Wrażenie było wielkie i radosne, również patriarcha śmiał się w swą białą brodę i mówił z uznaniem, że woda może teraz spokojnie opaść, a na ziemi rozpocząć się nowe życie; bo w szacie Boga istnieją

jeszcze wszystkie kolorowe nitki i nie brakuje niczego, by ustanowić na ziemi wiekuiste szczęście.

Jedynie Europejczyk nie pokazał jeszcze żadnej sztuki i teraz wszyscy inni domagali się gwałtownie, aby wystąpił i zrobił, co do niego należy, by można było stwierdzić, czy również on ma prawo oddychać pięknym bożym powietrzem i przebywać na pokładzie pływającego domu patriarchy.

Mężczyzna długo się wzbraniał i szukał wybiegów. Lecz w końcu sam Noe położył mu palec na piersi i kazał iść za sobą.

– Również ja – zaczął teraz biały człowiek – również ja rozwinąłem i wykształciłem pewną zdolność do wielkiej sprawności. Nie mówię o swoim oku, jakoby było lepsze niż u innych istot, ani o uchu, ani o nosie czy o zręczności rąk lub o czymś podobnym. Mój talent jest wyższego rzędu. Moim talentem jest intelekt.

– Niech pokaże! – zawołał Murzyn, a wszyscy stłoczyli się wokół.

– Nie ma tu niczego do pokazywania – rzekł biały człowiek łagodnie. – Chyba nie zrozumieliście mnie dobrze. Tym, co mnie wyróżnia, jest rozum.

Murzyn zaśmiał się wesoło, ukazując śnieżnobiałe zęby, Hindus ironicznie wykrzywił wąskie usta, a Chińczyk uśmiechnął się przebiegle i dobrodusznie pod nosem.

– Rozum? – zapytał powoli. – A więc pokaż nam, proszę, swój rozum. Dotąd nie było go wcale widać.

– Nie ma tu nic do zobaczenia – bronił się mrukliwie Europejczyk. – Mój talent i swoista cecha jest taka, że przechowuję w głowie obrazy zewnętrznego świata i jestem w stanie z tych obrazów stwarzać dla siebie samego nowe obrazy i porządki. Mogę w moim mózgu obmyślać cały świat, a więc na nowo go stwarzać.

Noe przesunął dłonią po oczach.

– Powiedz, proszę – rzekł powoli – do czego miałyby to służyć? Raz jeszcze stwarzać świat, który Bóg już stworzył, i to tylko dla ciebie samego, wewnątrz twojej małej głowy? Jaki może być z tego pożytek?

Wszyscy zakrzyknęli w aplauzie i jeden przez drugiego zaczęli zadawać pytania.

– Czekajcie! – zawołał Europejczyk. – Nie zrozumieliście mnie właściwie. Pracy rozumu nie można tak łatwo zademonstrować jak byle zręczności.

Hindus się uśmiechnął.

– Ależ tak, biały kuzynie, można to zrobić. Pokaż nam jakąś pracę umysłu, na przykład rachowanie. Rachujemy na wyścigi! No więc: para ma troje dzieci, z których każde znowu zakłada rodzinę. Każdej z młodych par rodzi się co roku dziecko. Po ilu latach liczba dzieci osiągnie sto?

Wszyscy przysłuchiwali się ciekawie i zaczęli liczyć na palcach, z zaciętym wyrazem oczu. Również Europejczyk zaczął rachować. Ale już po chwili zgłosił się Chińczyk, który rozwiązał zadanie.

– Bardzo pięknie – przyznał biały człowiek – ale to jest zwykła zręczność. Mój rozum nie jest po to, żeby wykonywać takie sztuczki, ale żeby rozwiązywać wielkie zadania, na których zasadza się szczęście ludzkości.

– Och, to mi się podoba – zachęcająco rzekł Noe. Znajdować szczęście to z pewnością coś więcej niż wszystkie inne zręczności. Tutaj masz rację. Powiedz nam szybko, jakie nauki masz do przekazania na temat szczęścia ludzkości, a będziemy ci wdzięczni.

W napięciu i ze wstrzymanym oddechem wszyscy spoglądali na usta białego człowieka. Oto nadeszła ta chwila. Chwała temu, który pokaże nam, w czym tkwi szczęście ludzkości! Niechaj będą mu darowane wszystkie złe słowa, temu magowi! Po co mu kunszt i zręczność oka, ucha i dłoni, na cóż pracowitość i sztuka rachowania, skoro wie takie rzeczy!

Europejczyk, który miał dotąd dumną minę, wobec tej pełnej szacunku ciekawości powoli zaczął odczuwać zakłopotanie.

– To nie moja wina – powiedział z wahaniem – ale wciąż źle mnie rozumiecie! Nie powiedziałem, że znam tajemnicę szczęścia. Mówię jedynie, że mój rozum pracuje nad zadaniami, których rozwiązanie będzie się przyczyniać do szczęścia ludzkości. Droga do tego jest daleka i ani ja, ani wy nie ujrzymy jej końca. Jeszcze wiele pokoleń będzie rozmyślać nad tymi trudnymi pytaniami!

Ludzie stali zbici z tropu i nieufni. O czym mówił ten człowiek? Również Noe spoglądał w bok, marszcząc czoło.

Hindus uśmiechnął się do Chińczyka, a ponieważ wszyscy inni milczeli w zakłopotaniu, Chińczyk rzekł przyjaźnie:

– Drodzy bracia, ten biały kuzyn to żartowniś. Chce nam powiedzieć, że w jego głowie odbywa się praca, której wynik ujrzą być może kiedyś prawniki naszych prawników, albo nawet oni nie. Proponuję, abyśmy uznali go za dowcipnisia. Mówi nam rzeczy, których my wszyscy nie jesteśmy w stanie

należycie zrozumieć; wszyscy jednak przeczuwamy, że gdybyśmy je naprawdę zrozumieli, dałyby nam sposobność do nieustannego śmiechu. Nie macie podobnego wrażenia? Dobrze więc, wznieśmy okrzyk na cześć naszego figlarza!

Większość mu zawtórowała i cieszyła się, że ta ponura historia dobiegła końca. Niektórzy wszakże byli rozeźleni i poirytowani i Europejczyk nadal stał sam, w nikim nie znajdując otuchy.

Pod wieczór jednak do patriarchy przyszedł Murzyn w towarzystwie Eskimosa, Indianina i Malaja i rzekł tak:

– Czcigodny ojcze, mamy do ciebie pytanie. Ten biały gagatek, który dzisiaj sobie z nas zadrwił, nie podoba się nam. Proszę cię, rozważ to sobie: wszyscy ludzie i wszystkie zwierzęta, każdy niedźwiedź i każda pchła, każdy bażant i każdy żuk gnojak, jak również my, ludzie, wszyscy mieli do pokazania coś, za pomocą czego składamy cześć Bogu i chronimy, uszlachetniamy lub upiększamy nasze życie. Widzieliśmy cudowne zdolności, a niejedna z nich budziła śmiech; lecz każde najmniejsze bydłatko miało coś miłego i ładnego do ofiarowania jedynie ten błądy człowiek, którego wyłowiliśmy na końcu, nie miał do zaoferowania nic poza dziwaczными i wyniosłymi słowami, aluzjami i żartami, których nikt nie rozumie i które nikomu nie mogą sprawić radości. Pytamy cię zatem, drogi ojcze, czy aby jest właściwe, by takie stworzenie pomagało w ustanowieniu nowego życia na tej kochanej ziemi? Czy nie mogłoby to spowodzić nieszczęścia? Przyjrzyj mu się tylko! Jego oczy są mętne, czoło pełne zmarszczek, ręce blade i słabowite, twarz spogląda ze złością i smutkiem, nie dobywa się zeń żaden dźwięczny odgłos! Z pewnością, coś nie jest z nim w porządku – Bóg wie, kto przysłał tego gagatka na naszą arkę!

Siwy praojciec przyjaźnie uniósł jasne oczy na pytających.

– Dzieci – rzekł cicho i z wielką dobrocią, tak że ich twarze natychmiast się rozjaśniły – drogie dzieci! Macie rację i zarazem nie macie racji w tym, co mówicie! Lecz Bóg udzielił już na to odpowiedzi, nim jeszcze zapytaliście. Muszę przyznać, że człowiek z kraju ogarniętego wojną nie jest zbyt miłym gościem i właściwie trudno zrozumieć, po co muszą istnieć podobni dziwacy. Lecz Bóg, który stworzył tę odmianę, z pewnością wie dobrze, czemu to uczynił. Wy wszyscy macie tym białym mężczyznom wiele do wybaczenia, to oni kolejny raz tak bardzo popsuli naszą biedną ziemię, że spotkała ją kara. Lecz spójrzcie, Bóg dał znak, jakie ma plany w związku z białym człowiekiem. Wy wszyscy, ty, Murzynie, i ty, Eskimosie, na nowe ziemskie życie, które wkrótce mamy nadzieję rozpocząć, macie ze sobą swoje drogie żony, ty twoją Murzynkę, ty twoją Indiankę, ty twoją Eskimoskę. Jedynie człowiek z Europy jest sam. Długo smuciłem się

z tego powodu, teraz jednak sędę, że domyślą się, jaki jest tego sens. Ten człowiek został dla nas zachowany jako przestroga i bodziec, a być może na postrach. Rozmnażać się jednak nie może, chyba że pogrąży się znowu w rzece wielobarwnej ludzkości. Nie będzie mógł popsuć waszego życia na nowej ziemi. Bądźcie spokojni!

Zapadła noc, a następnego ranka na wschodzie z wody wystawał spiczasty i mały wierzchołek świętej góry.

Edmund

Edmund, utalentowany młodzieniec z dobrego domu, stał się podczas kilkuletnich studiów ulubionym uczniem dobrze podówczas znanego profesora Zerkela.

Działo się to w epoce, kiedy tak zwany okres powojenny dobiegał końca, kiedy wielkie wojny, wielkie przeludnienie oraz całkowity upadek obyczajów i religii nadały Europie to rozpaczliwe oblicze, które spogląda na nas niemal ze wszystkich portretów przedstawicieli owych czasów. Nie rozpoczęła się jeszcze wówczas właściwie epoka znana pod nazwą „odrodzenie średniowiecza”, niemniej jednak wszystko to, co od ponad stu lat cieszyło się powszechną czcią i uznaniem, było już głęboko naruszone i w najszerszych kręgach wyczuwało się szybko narastające znużenie oraz niechęć wobec tych gałęzi wiedzy i praktycznych umiejętności, które faworyzowano od połowy dziewiętnastego wieku. Miano dosyć i więcej niż dosyć analitycznych metod, techniki jako celu samego w sobie, racjonalistycznych sztuk wyjaśniania, wątlej rozumowości owego obrazu świata, który kilka dziesiątków lat wcześniej wyznaczał poziom europejskiego wykształcenia i wśród którego ojców wybijały się kiedyś nazwiska Darwina, Marksa i Haeckla. W takich postępowych kręgach jak te, do których należał Edmund, panowało nawet powszechne duchowe znużenie, sceptyczna, niewolna zresztą od próżności ochota do wyzbytej złudzeń samokrytyki oraz wysublimowanej autopogardy wobec inteligencji i stosowanych przez nią metod. Jednocześnie w kręgach tych obudziło się fanatyczne zainteresowanie wysoko wówczas rozwiniętymi badaniami religijnymi. Świadectw dawnych religii nie rozpatrywano już głównie historycznie, socjologicznie czy światopoglądowo, jak miało to miejsce dotychczas, lecz próbowano poznać bezpośrednio ich siły żywotne, a także psychologiczne i magiczne oddziaływanie ich form, obrazów i zwyczajów. Wśród ludzi starszych oraz nauczycieli panowała jednak w jeszcze większym stopniu nieco zblazowana ciekawość czystej naukowości, pewna radość z gromadzenia, porównywania, wyjaśniania, porządkowania i umysłowej przewagi; ludzie młodszy i uczniowie natomiast prowadzili te studia w nowym duchu, to znaczy pełni czci, a nawet pełni zawiści wobec przejawów życia religijnego, wygłodniali treści owych kultów i formuł, jakie przekazała nam historia, a także pełni skrytego, na wpół zniechęconego do życia, na wpół gotowego do wiary pragnienia dotarcia do sedna wszystkich tych przejawów, pragnienia wiary i postawy duchowej, która być może umożliwiłaby im życie na

podobieństwo ich odległych przodków, na gruncie mocnych i szlachetnych pobudek oraz z ową zatraconą świeżością i intensywnością, jaka promieniuje z kultów religijnych i dzieł sztuki dawnych czasów.

Sławny stał się na przykład przypadek owego młodego prywatnego docenta z Marburga, który postanowił sobie, że opíše życie i śmierć pobożnego poety Novalisa. Jak wiadomo, ów Novalis po śmierci swej narzeczonej podjął decyzję, że umrze wkrótce po niej, i jako człowiek prawdziwie pobożny oraz poeta nie użył do tego środków mechanicznych, takich jak trucizna albo broń palna, lecz powoli doprowadzał się do śmierci czysto duchowymi oraz magicznymi środkami i umarł bardzo młodo. Otóż ów prywatny docent uległ urokowi tego osobliwego życia i śmierci, a co więcej, zapragnął pójść w ślady poety i umrzeć tak jak on, jedynie drogą duchowego naśladownictwa i odwzorowania. Pobudką do tego nie było właściwie zniechęcenie do życia, ale raczej pragnienie cudu, to znaczy wpłynięcia na życie cielesne i zapanowania nad nim siłami duszy. I rzeczywiście żył jak poeta i umarł tak jak on jeszcze przed ukończeniem trzydziestki. Przypadek ten wzbudził podówczas sensację i został równie gwałtownie potępiony przez wszystkie kręgi konserwatywne, jak przez tę część młodzieży, która znajdowała zadowolenie w sporcie i materialnych rozkoszach życia. Ale dosyć o tym; nie chcemy analizować tutaj owych czasów, lecz jedynie napomknąć o postawie duchowej i nastroju kręgów, do których należał kandydat Edmund.

Studiował on zatem u profesora Zerkela religioznawstwo, a jego zainteresowania dotyczyły niemal wyłącznie owych po części religijnych, po części magicznych ćwiczeń, za pomocą których inne epoki i narody usiłowały zawładnąć duchowo życiem i umocnić ludzką duszę wobec natury i przeznaczenia. Nie chodziło mu, jak jego nauczycielowi, o filozoficzną i literacką fasadę religii, o jej tak zwane światopoglądy. Tym, co próbował poznać i zgłębić, były prawdziwe, bezpośrednio oddziałujące na życie praktyki, ćwiczenia i formuły: tajemnica potęgi symboli i sakramentów, techniki duchowej koncentracji, środki wytwarzania twórczych stanów duszy. Powierzchnowy sposób, w jaki przez stulecia tłumaczono takie zjawiska, jak asceza, egzorcyzmy, stan zakonny i pustelnicstwo, już dawno wymknął się poważnym studiom. W owym czasie Edmund na zamkniętym seminarium Zerkela, w którym oprócz niego uczestniczył tylko jeszcze jeden zaawansowany uczeń, zajmował się zgłębianiem pewnych magicznych formuł i tantr, jakie ostatnio odnaleziono w północnych Indiach. Jego profesor okazywał owym studiom czysto badawcze zainteresowanie, gromadził i porządkował te zjawiska, jak ktoś inny mógłby kolekcjonować owady. Czuł natomiast dobrze, iż jego ucznia Edmunda popycha do tych zaklęć i modlitewnych formuł zupełnie inny rodzaj pożądlivości, i dawno również zauważył, że uczeń dzięki pobożniejszej naturze swych badań zgłębił

niejedną tajemnicę, która dla nauczyciela pozostała nieprzenikniona; miał nadzieję, że jeszcze długo zachowa tego dobrego ucznia i będzie mógł korzystać z jego współpracy.

W owym czasie odcyfrowywali, tłumaczyli i interpretowali teksty owych hinduskich tantr i Edmund próbował właśnie jedną z tych sentencji przetłumaczyć z prajęzyka w następujący sposób:

„Kiedy znajdziesz się w położeniu, w którym twoją duszę dotknie choroba i zapomni ona o tym, czego potrzebuje do życia, a ty zechcesz poznać, czym jest to coś, czego ona potrzebuje i co jej musisz dać, opróżnij wówczas swoje serce, ogranicz swoje oddychanie do minimum, wyobraź sobie centrum swej głowy jako pustą wnękę, skieruj na tę wnękę spojrzenie i skup się na jej kontemplacji, a wnęka nagle przestanie być pusta i ukaże ci obraz tego, czego potrzebuje twa dusza, by móc dalej żyć”.

– Dobrze – rzekł profesor i skinął głową. – Tam, gdzie mówi pan „zapominać”, należałoby chyba nieco dokładniej powiedzieć: „tracić”. I czy zauważył pan, że słowo oznaczające „wnękę” jest tym samym, którego ci przebiegli kapłani lub szarlatani używają również na określenie tona matki? Tym gagatkom naprawdę udało się z dość prozaicznego przepisu postępowania w leczeniu melancholików uczynić zawiłą formułę magiczną. To *mar pegil trafu gnoki* wraz ze swoimi odniesieniami do formuły wielkiego zaklinalnia węża musiało brzmieć dość niesamowicie i przerażająco w uszach biednego Bengalczyka, którego tym sposobem tumanili! Samo zalecenie opróżnienia serca, ograniczenia oddechu i skierowania spojrzenia do wnętrza nie przynosi nam oczywiście nic nowego i jest zdecydowanie precyzyjniej sformułowane na przykład w sentencji numer 83.1 cóż, Edmundzie, jest pan oczywiście znowu całkowicie odmiennego zdania? Co pan o tym sądzi?

– Panie profesorze – cicho rzekł Edmund – sądzę, że i w tym przypadku nie docenia pan wartości samej formuły; nie chodzi tu o oklepane objaśnienia słów, jakie podajemy, lecz o same słowa. Nagie znaczenie sentencji musi zostać uzupełnione o coś jeszcze, o jej dźwięk, dobór rzadkich i archaicznych słów, budzące skojarzenia współbrzmienie z formułą zaklinalnia węża – dopiero to wszystko razem nadawało sentencji jej magiczną moc.

– Jeśli rzeczywiście ją miała! – zaśmiał się profesor. – Właściwie szkoda, że nie żył pan wtedy, kiedy te sentencje były jeszcze żywe. Byłby pan nadzwyczaj wdzięcznym obiektem dla czarodziejskich sztuczek ich autorów. Ale niestety zjawiał się pan kilka tysięcy lat za późno i mogę się z panem założyć, że bez

względu na to, jak by się pan starał zrealizować zalecenia sentencji, nie przyniesie to najmniejszego efektu.

Obrócił się do drugiego ucznia i w dobrym nastroju mówił zajmująco dalej.

Tymczasem Edmund raz jeszcze przeczytał swoją sentencję. Zrobiła na nim szczególne wrażenie za sprawą początkowych słów, które zdawały się pasować do niego samego i jego położenia. Słowo po słowie recytował sobie w duchu formułę, jednocześnie próbując dokładnie wypełnić jej zalecenia:

„Kiedy znajdziesz się w położeniu, w którym twoją duszę dotknie choroba i zapomni ona o tym, czego potrzebuje do życia, a ty zechcesz poznać, czym jest to coś, czego ona potrzebuje i co jej musisz dać, opróżnij wówczas swoje serce, ogranicz swoje oddychanie...” i tak dalej.

Udało mu się skoncentrować lepiej niż przy poprzednich próbach. Stosował się do wskazówek i przecucie mówiło mu, iż rzeczywiście przyszła odpowiednia chwila, jego dusza jest w niebezpieczeństwie i zapomniała o tym, co najważniejsze.

Wkrótce po rozpoczęciu prostych ćwiczeń jogi oddechowej, które często wykonywał, poczuł, że coś dzieje się w jego wnętrzu, a potem uczył, jak w samym środku jego głowy powstaje mała wnęka, zobaczył, jak ziele, mała i ciemna, i z rosnącym żarem skierował swą uwagę na ową wnękę, czy też „lono matki”, wielkości orzecha. I wnęka zaczęła się nieśmiało rozjaśniać od środka, a jasność ta stopniowo przybierała na sile i obraz tego, co musiał zrobić, by móc nadal żyć, coraz wyraźniej odsłaniał się pod jego spojrzeniem. Nie przestraszył się tego obrazu, ani przez chwilę nie wątpił w jego prawdziwość; czuł w głębi serca, że obraz ma rację, że nie ukazuje mu nic innego, jak tylko „zapomnianą” najgłębszą potrzebę jego duszy.

I tak, karmiony przez obraz nieznanymi mu wcześniej siłami, wypełnił radośnie i pewnie jego rozkaz i wykonał czyn, którego wzór ujrzał we wnęce. Otworzył przymknięte podczas ćwiczenia oczy, wstał z ławki, postąpił krok naprzód, wyciągnął przed siebie ręce, położył je na szyi profesora i tak długo je zaciskał, aż poczuł, że już wystarczy. Pozwolił uduszonemu osunąć się na ziemię, odwrócił się i dopiero teraz przypomniał sobie, że nie jest sam: jego kolega siedział w ławce blady jak trup, z kroplami potu na czole, przypatrując mu się ze zgrozą.

– Wszystko się dosłownie i co do joty spełniło! – zawołał z zachwytem Edmund. – Opróżniłem serce, oddychałem płytko, myślałem o wnęce w głowie, skierowałem na nią spojrzenie, aż naprawdę przeniknęło do głębi, i wnet pojawił

się obraz; ujrzałem nauczyciela i siebie samego oraz moje ręce na jego szyi i całą resztę. Całkiem bezwolnie usłuchałem obrazu, nie wymagało to żadnej siły, niepotrzebne było żadne postanowienie. I teraz jest mi tak cudownie błogo jak jeszcze nigdy w życiu!

– Człowieku – wykrzyknął tamten – dojdźże do siebie i opamiętaj się! Dokonałeś zabójstwa! Jesteś mordercą! Powieszają cię za to!

Edmund nie słuchał. Słowa te na razie do niego nie docierały. Cicho szeptał pod nosem słowa formuły: *mar pegil trafu gnoki*, i nie widział przed sobą martwych ani żywych nauczycieli, lecz nieograniczony ogrom świata i życia, który stał przed nim otworem.

Szwabska parodia

W pięknym kraju Szwabów mnóstwo jest pięknych i osobliwych miast oraz wsi pełnych godnych uwagi pamiątek, i wiele z nich doczekało się również znakomitych, a nawet klasycznych przedstawień. Przypomnę choćby trzynomową historię Bopfingen pióra Megerlego oraz dogłębne badania Mörikego poświęcone rodzinie Wispelów. Niechaj poniższe uwagi historyczne o Knörzelfingen, perle doliny Knörzel, zostaną potraktowane jako pierwsza podnieta i podstawa do późniejszego krajoznawczego opisanie przez powołaną do tego rękę. Zaiste bowiem, czas byłby już w końcu skruszyć kopię o Knörzelfingen i obudzić tę perłę jednej z najpiękniejszych dolin naszej ojczyzny z trwającego od stulecia snu Śpiącej Królewny.

Jak każdemu szwabskiemu uczniowi wiadomo z nauki o kraju rodzinnym, w tej porośniętej w większej części lasem liściastym i romantycznie pociętej warstwami wapienia dolinie ma swe źródło bystra rzeczka czy też potok o nazwie Knörzel. Znana anegdota ze świetnej historii duchowej Wirtembergii opowiada o tym, jak Ludwig Uhland pod koniec swych lat szkolnych stał w czasie egzaminu dojrzałości przed swoim ukochanym profesorem Hosianderem i został przezeń zapytany o dwudziesty pierwszy lewy dopływ Nekar, na co ku głębokiemu ubolewaniu wielce zasłużonego nauczyciela nie udzielił odpowiedzi. Dzisiaj może nam się wydawać znamienne, że właśnie nasz wielki Uhland, który uwiecznił w swoich poezjach tak wiele nazw pól i wsi Szwabii, ujawnił tę osobliwą lukę w swej tak skądinąd bogatej wiedzy. Podobnie jak wielki poeta zapomniał o Knörzel, tak samo była owa rzeczka od dawna zaniedbywana zarówno przez literaturę, jak i przez opinię publiczną. A jednak również tutaj szumiała kiedyś wielka rzeka dziejów i jeszcze dzisiaj tradycja ludowa ma do przekazania liczne ciekawostki i legendy o tej okolicy, do których gromadzenia należałoby się możliwie szybko zabrać, zanim jeszcze niwelujący wszystko potężny zalew współczesności zatopi i zniszczy również te świadectwa minionych czasów. Pierwotnie, to znaczy do nieszczęsnego roku 1231, dolina należała do ogromnych włości hrabiego von Calw, podczas gdy sam zamek Knörzelfingen został podobno zbudowany nie przez niego, lecz w zamierzchłych czasach przez Knorza Pierwszego. Udany wizerunek zamczyska odnajdujemy wśród miedziorytów Meriana; dziś zniknęło już jednak z powierzchni ziemi i jedynie tak zwana góra pokrzywowa, porośnięta zielskiem, zasługująca na uwagę botaników rumowisko zaświadcza jeszcze o dawnym istnieniu szacownej budowli. Kwestia, czy Knorz

Pierwszy, budowniczy zamku, jest identyczny z Knorzem Osobliwym, ulubioną postacią tylu podań ludowych, nie tylko nie została rozstrzygnięta przez naukę, lecz nawet traktowana była przez nią z pewną bojaźliwością. Rycerz Knorz, bohater tak wielu tkliwych podań ludowych, został tymczasem uznany przez nowsze badania za osobistość jedynie legendarną i dlatego wolimy pozostawić w spokoju liczne ślady, jakie ta czcigodna postać odcisnęła w obyczaju i legendzie, w języku i obrzędowości mieszkańców Knörzelfingen. Wspomnijmy tylko, że wedle genialnych badań Fischera i Bohnenbergera osobliwe wyrażenia „knorzen” i „Knorzer” wywodzą się niewątpliwie z owego kręgu legend; do dziś zdażyły one już zawojować cały szwabski obszar językowy. Wśród regionalnych opowieści ludowych, które nasz szacowny gawędziarz Martin Kurtz – jak zostało udowodnione – wprawdzie zaplanował, lecz których, co godne ubolewania, nie napisał, miała się również znaleźć powieść o Knorzu Osobliwym.

Również z obszaru legendarnej tradycji ludowej pochodzi opowieść o kąpieli księcia Eugeniusza Długowłosego w Knörzel, ponieważ rzeka ta cieszyła się niegdyś dużym uznaniem jako źródło lecznicze, do czego jeszcze wrócimy. Jak wiadomo, przy okazji owej kąpieli książę Eugeniusz miał przenieść na swoich barkach przez spienione fale Knörzel nadobną córkę chłopską Barbarę Dybę, tak zwaną Dybównę, przy czym chcielibyśmy jednakże określić jako nazbyt pochopny sąd Hammelehlego, który w swej skądinąd nader zasłużonej dysertacji *Książę Eugeniusz Długowłosy i jego związki z humanizmem* stwierdza, że może uznać tę relację jedynie za humanistyczno-klasycystyczne naśladowanie przygody między Zeusem a Europą. Jest wszak dostatecznie poświadczony historycznie, iż owa Barbara Dybówna naprawdę była kochanką wielbiącego przepych i zaślepionego księcia, na przykład w anonimowym poemacie satyrycznym *Książę w dyby wzięty* z 1523 roku. Wówczas to również Achilles Zwilling, archidiakon i mężny nadworny kaznodzieja Eugeniusza, odmówił wykonania gniewnego rozkazu księcia, by natychmiast w publicznym kazaniu zrehabilitować Dybównę, wypowiadając prawdziwie szwabskie, męskie słowa: „Czy ona cię przydybała, Wasza Książęca Mość, czy też przez ciebie została zdybana, zbadania tego odmówi każdy szwabski teolog, poczytując to za niegodne jego osoby”.

W osiemnastym wieku pewien mieszkaniec Knörzelfingen, wyrobniczy syn Adam Wulle, cieszył się wielką sławą w landzie jako popularny świecki kaznodzieja oraz przywódca założonej przez siebie sekty. Powszechne zdumienie wywołał on zwłaszcza półtoragodzinnym płomiennym kazaniem na temat biblijnego wersetu: „A Joram zrodził Ozjasza”. Był to ten sam Adam Wulle, o którym przekazana została zabawna historia, mówiąca, że pewien kamrat poinformował go, w jaki sposób można niezawodnie rozpoznać, czy jakaś kobieta

jest czarownicą, czy też nie. Czarownicę, jak mu powiedziano, można natychmiast poznać po śnieżnobiałych kolanach. Wiedziony podejrzeniem, Adam Wulle obejrzał wieczorem kolana swojej żony i rozgrzeszył ją z posądzenia, mówiąc: „Carownicom toś ty nie jest, ale za to łokropne z ciebie prosie”.

W ogóle wydaje się, że mieszkańcy Knörzelfingen, zgodnie z dobrym szwabskim zwyczajem, posiadali szczęśliwy dar układania krótkich i zapadających w pamięć powiedzonek. Nie kto inny, jak sołtys Knörzelfingen w klasyczny sposób wyraził szczerą opinię ludu o pastorze i poecie Eduardzie Mörikem. Mörike był przez jakiś czas wikarym w pewnej wsi w tamtej okolicy i kiedy sołtysa pewnego razu zapytano, czy wie, że jego sąsiad, wikary Mörike, pisze tak piękne wiersze, dzielny ów człowiek skinął głową i odparł: „Ten chwyt umiołby zrobić jesce o wiele smyślniejsze rzeczy”.

Na osobne obszerne przedstawienie zasłużyła sobie historia Knörzelfingen jako uzdrowiska. W dawnych czasach hrabia Wirtembergii miał zbłądzić na polowaniu do doliny Knörzel i chociaż on i jego towarzysze ustrzelili tam wielką liczbę zajęcy, jeleni, bażantów i innych dzikich zwierząt, jedynie nieliczne z upolowanych sztuk wpadły w ich ręce. Badając sprawę, odkryli, że zranione zwierzęta wlokły się do szemrzącej rzeczki Knörzel, piły z niej albo się w niej obmywały i zaraz biegły uzdrowione z powrotem do wspaniałych lasów, które jeszcze i dzisiaj stanowią ozdobę tej okolicy. Tak narodziła się sława Knörzelskiej wody i jej uzdrawiającej mocy. Przez stulecia dolina, podobnie jak tyle innych obdarzonych łaskami dolin naszej ojczyzny, odwiedzana była przez ludzi cierpiących na wszelkie choroby, a zwłaszcza na dnę i reumatyzm. Czy to jednak dlatego, że właściwości wody zmieniły się z biegiem czasu, czy też dlatego, że nie oddziaływała ona na ludzi w ten sam sposób, co na leśne zwierzęta – tak czy owak, uzyskiwano w tym uzdrowisku równie mało wyleczeń jak w innych, z wielką korzyścią dla właścicieli zakładów zdrojowych, ponieważ chorzy nie zdrowieli i nie przestawali przyjeżdżać, lecz nadal byli chorzy i żądni uzdrowienia, przez co rok w rok wracali na kurację zdrojową, podobnie jak się to dzieje w innych uzdrowiskach. Właściciele zakładów i chorzy byli z tego stanu rzeczy zadowoleni; ci pierwsi zarabiali pieniądze, ci drudzy zaś mogli rok w rok powracać, uskarżać się sobie wzajemnie na swoje bóle i przez kilka letnich tygodni siedzieć na leżakach albo przy suto zastawionych okolicznymi kuropatwami i pstragami uzdrowiskowych stołach.

Temu, że to miłe zdrojowe życie dobiegło końca, winien był wybryk pewnego obywatela Knörzelfingen, który pracował w swoim miasteczku jako lekarz. Był on współczesnym i duchowym bratem Justinusa Kernerera, a także doktora

Passavanta oraz innych romantycznych marzycieli i mógłby żyć dostatnio jako lekarz zdrojowy, gdyby nie był zapaleńcem, idealistą i nieokrzesanym fanatykiem prawdy. Ten osobliwy lekarz (jego nazwiska do dziś dnia nie można w Knörzelfingen wymawiać) w ciągu niewielu lat zupełnie unieruchomił i zrujnował popularne uzdrowisko. Wyśmiewał chorych, którzy go pytali, ile i jak długie powinni brać kąpiele oraz czy skuteczniejsza jest kuracja kąpielowa, czy leczenie wodami mineralnymi. Opierając się na niezaprzeczalnie wielkiej wiedzy, tłumaczył z płomienną elokwencją kuracjuszom, że wszystkie te podagryczne i reumatyczne bóle nie są bynajmniej pochodzenia cielesnego, lecz duchowego, i że łykanie lekarstw ani kąpiele w jakichkolwiek wodach nie mogą tu nic zgoła pomóc, ponieważ te uciążliwe choroby nie powstały w wyniku wadliwej przemiany materii ani za sprawą zakwaszenia moczu, jak utrzymuje materialistyczna nauka, lecz stanowią następstwo wad charakteru, a w związku z tym można je uleczyć jedynie środkami duchowymi, o ile zresztą w ogóle można mówić o „uleczalnych” chorobach. Co za tym idzie, szanowni państwo nie powinni sobie niczego obiecywać po kąpielach, lecz ubolewać nad swymi wadami charakteru albo też się z nimi pogodzić. W ciągu kilku krótkich lat lekarzowi temu udało się zniszczyć sławę prastarego zdrojowiska. Późniejsze pokolenie dokładało wprawdzie energicznych starań, aby ponownie uruchomić to źródło dochodów, lecz tymczasem powszechna oświata poczyniła wielkie postępy i żaden lekarz nie wysyłał już chorego do jakiegoś uzdrowiska jedynie ze względu na jego dobrą sławę, lecz żądano dokładnych chemicznych analiz wody. Analizy te wykazały wprawdzie godne polecenia właściwości wody z Knörzelfingen jako wody do picia, nie stwierdzono w niej jednak żadnych innych zalet z punktu widzenia lekarzy i pacjentów. Dlatego chorzy na artretyzm jeżdżą co roku do innych uzdrowisk, rozmawiają tam ze sobą o swoich cierpieniach i przywiązują wagę do dobrego wyżywienia oraz zdrojowej muzyki, do Knörzelfingen nikt już jednak nie jeździ.

Wiele jeszcze byłoby do opowiedzenia, lecz w obliczu ogromu materiału zadowolę się świadomością, że wprawdzie nie wyczerpałem tematu, dałem jednak pobudkę do jego dalszego opracowania. Moją niewielką pracę o Knörzelfingen zamierzam przedłożyć wielce szacownemu, podobno założonemu przez Knorza Pierwszego uniwersytetowi w celu uzyskania godności rektora, choć wybór fakultetu wciąż jeszcze wymaga zastanowienia.

O wilku stepowym

Obrotnemu właścicielowi małej menażerii udało się na krótki okres zaangażować znanego wilka stepowego Harry'ego. Obwieścił to w całym mieście na afiszach, obiecując sobie po tym zwiększoną frekwencję w swej budzie jarmarcznej, i nie został w swoich nadziejach zawiedziony. Ludzie słyszeli wszędzie o wilku stepowym, legenda o tej bestii stanowiła ulubiony temat rozmów w wykształconych kręgach, każdy chciał się czegoś o tym zwierzęciu dowiedzieć, a opinie o nim były bardzo podzielone. Niektórzy byli zdania, że bydlę takie, jak wilk stepowy, w każdych okolicznościach jest niepokojącym, groźnym i niezdrowym zjawiskiem, szydzi sobie z mieszkańców miasta, zrywa rycerskie portrety ze ścian świątyń nauczania, natrząsa się nawet z Johanna Wolfganga Goethego, a ponieważ dla tego stepowego bydlęcia nic nie jest święte i oddziałuje zaraźliwie i podżegająco na część młodzieży, należy w końcu zjednoczyć siły i na dobre się z nim rozprawić; dopóki nie zostanie zabity i pogrzebany, nie będzie z nim spokoju. Ten prosty, zacny i przypuszczalnie słuszny pogląd nie był jednak bynajmniej podzielany przez wszystkich. Istniało drugie stronnictwo, hołdujące zupełnie innemu zapatrywaniu, że mianowicie wilk stepowy nie jest wprawdzie niegroźnym zwierzęciem, lecz nie tylko ma rację bytu, ale nawet pewną moralną i społeczną misję. Każdy z nas, twierdzili najbardziej wykształceni zwolennicy tego stronnictwa, każdy z nas niejawnie i skrycie nosi wszak w piersi takiego wilka stepowego. Piersiami, na które przy tych słowach mówiący wskazywali, były wielce szacowne piersi dam z towarzystwa, adwokatów i przemysłowców, a piersi te były okryte jedwabnymi koszulami i kamizelkami o nowoczesnym kroju. Każdemu z nas, mówili ci liberalnie myślący ludzie, bardzo dobrze znane są w głębi duszy uczucia, popędy i cierpienia wilka stepowego, każdy z nas musi się z nimi zmagać i każdy z nas jest w gruncie rzeczy również takim biednym, wyjąłym, głodnym wilkiem stepowym. Tak mówili, kiedy, okryci jedwabnymi koszulami, rozmawiali o wilku stepowym, i mówiło tak również wielu krytyków prasowych, po czym nasadzali na głowę swoje piękne filcowe kapelusze, wkładali swoje piękne futrzane płaszcze, wsiadali do swoich pięknych automobilów i jechali z powrotem do swojej pracy, do swoich biur i redakcji. Jeden z nich pewnego wieczora zaproponował nawet przy whisky, by założyć stowarzyszenie wilków stepowych.

W dniu, w którym menażeria zainicjowała swój nowy program, przyszło również wielu ciekawskich, chcących zobaczyć to osławione zwierzę, którego

klatkę pokazywano zaledwie za jeden dodatkowy grosik. Małą klatkę, którą uprzednio zamieszkiwała zmarła niestety przedwcześnie pantera, przedsiębiorca wedle możliwości wyposażył stosownie do okazji. Obrotny ten człowiek znalazł się przy tym w niejakiem kłopotcie, ponieważ ów wilk stepowy był bądź co bądź dość niezwykłym zwierzęciem. Podobnie jak tamci panowie adwokaci i fabrykanci pod koszulą i frakiem nosili rzekomo ukrytego w piersi wilka, tak samo ten oto wilk rzekomo nosił skrycie w swej mocnej, kosmatej piersi ukrytego człowieka, zróżnicowane uczucia, melodie Mozarta i tym podobne rzeczy. By uwzględnić niezwykle okoliczności oraz oczekiwania publiczności, mądry przedsiębiorca (który od lat wiedział, że nawet najdziksze zwierzęta nie są tak kapryśne, groźne i nieobliczalne jak publiczność) wyposażył klatkę w dość osobliwy sposób, umieszczając w niej kilka symboli wilkoczęka. Była to klatka jak wszystkie inne, z żelaznymi kratami i odrobiną słomy na podłodze, lecz na jednej ze ścian wisiało ładne empiryczne lustro, pośrodku zaś klatki ustawiono mały fortepian, czy raczej pianino, z odkrytą klawiaturą, a na tym nieco chybotliwym meblu stało gipsowe popiersie księcia poetów, Goethego. W samym zwierzęciu, które budziło tyle ciekawości, nie można było dopatrzeć się zgoła nic szczególnego. Wyglądało dokładnie tak jak wilk stepowy, *lupus campestris*, powinien wyglądać. Najczęściej leżał nieruchomo w kącie, w możliwie największej odległości od widzów, żując swoje przednie łapy i wpatrując się przed siebie, jakby zamiast prętów krat znajdował się tam nieskończony step. Czasami wstawał i kilkakrotnie przechadzał się tam i z powrotem po klatce, wtedy pianino chwiało się na nierównej podłodze, a wraz z nim chwiało się niepokojąco stojący na nim gipsowy książę poetów. Odwiedzającymi zwierzę nie przejmowało się zbytnio, a większość z nich była jego wyglądem raczej rozczarowana. Lecz również na temat tego wyglądu istniały rozmaite opinie. Wielu mówiło, że zwierzę jest zupełnie zwyczajną i pozbawioną wyrazu bestią, tępogłowym, pospolitym wilkiem, i na tym koniec, a „wilk stepowy” w ogóle nie jest pojęciem zoologicznym. Inni natomiast twierdzili, że zwierzę ma piękne oczy, a cała jego istota wyraża poruszające uduchowanie, od którego człowiekowi ze współczucia serce się kraje. Kilku mądrym osobom nie umknęło przy tym, że te wypowiedzi o wyglądzie wilka stepowego pasowałyby równie dobrze do każdego innego zwierzęcia w menażerii.

Po południu wydzielone pomieszczenie budy jarmarcznej, w którym mieściła się klatka wilka, odwiedziła grupka ludzi, która zatrzymała się nieco dłużej na jego widok. Składała się ona z trzech osób, dwojga dzieci i ich wychowawczynie. Jednym z dzieci była ładna, dość milcząca ośmioletnia dziewczynka, a drugim mniej więcej dwunastoletni krzepki chłopiec. Oboje bardzo spodobali się wilkowi stepowemu, ich skóra pachniała młodo i zdrowo,

często zerkał na piękne, sprężyste nogi dziewczynki. Guwernantka, no cóż, to było coś innego, uznał, że lepiej będzie zwracać na nią jak najmniej uwagi.

Żeby znaleźć się bliżej ładnej dziewczynki i lepiej czuć jej zapach, wilk Harry ułożył się przy samej kracie od strony publiczności. Wdychając z zadowoleniem woń obojga dzieci, przysłuchiwał się nieco znudzony wypowiedziom trójki, która zdawała się bardzo interesować Harrym i nader żywo o nim rozprawiała. Ich zachowanie było przy tym bardzo różne. Chłopiec, rezolutny i zdrowy zuch, podzielał w pełni pogląd, który usłyszał w domu z ust ojca. Uważał, że takie wilczysko za kratami menażerii znajduje się na najwłaściwszym miejscu, natomiast pozwolić mu biegać na wolności byłoby nieodpowiedzialną głupotą. Można by ewentualnie przeprowadzić próbę, czy zwierzę da się wytresować, na przykład do ciągnięcia sań, jak pies polarny, ale raczej się to nie uda. Nie, on, Gustaw, byłby tego wilka, gdziekolwiek by go spotkał, bez wielkich ceregieli zastrzelił.

Wilk stepowy przysłuchiwał się, przyjaźnie oblizując sobie pysk. Chłopiec mu się podobał. „Mam nadzieję – myślał – że jeśli kiedyś nagle się spotkamy, będziesz miał pod ręką strzelbę. I mam nadzieję, że spotkam cię w stepie, a nie wyjdę ci kiedyś niespodzianie naprzeciw z twojego własnego lustra”. Chłopiec wydawał mu się sympatyczny. Będzie z niego byczy facet, zdolny i odnoszący sukcesy inżynier, fabrykant albo oficer, i Harry nie miałby nic przeciwko temu, żeby przy jakiejś okazji się z nim zmierzyć, a w razie potrzeby zostać przez niego zastrzelonym.

Jakie jest nastawienie ładnej małej dziewczynki do wilka stepowego, trudno było rozpoznać. Najpierw go obejrzała i uczyniła to z o wiele większym zaciekawieniem i znacznie bardziej gruntownie niż oboje pozostali, którym się wydawało, że już wszystko o nim wiedzą. Mała dziewczynka stwierdziła, że podobają jej się język i zęby Harry’ego, również jego oczy przypadły jej do gustu, natomiast nieco zaniedbanej sierści przypatrywała się z nieufnością, a ostry zapach drapieżnika budził w niej podniecenie oraz zdziwienie, w którym niechęć i odraza mieszały się z zaciekawioną lubieżnością. Nie, ogólnie biorąc, podobał się jej i bynajmniej nie uszło jej uwagi, że Harry jest bardzo życzliwie do niej usposobiony i przygląda się jej z pełnym podziwu pożądaniem; chłonęła jego podziw, wyraźnie zadowolona. Od czasu do czasu zadawała jakieś pytanie.

– Proszę panienki, dlaczego ten wilk musi mieć w klatce fortepian? – zapytała. – Wydaje mi się, że wolałby mieć w środku coś do jedzenia.

– To nie jest zwyczajny wilk – odparła guwernantka.

– To muzykalny wilk. Ale tego nie jesteś jeszcze w stanie zrozumieć, dziecko.

Dziewczynka skrzywiła ładne usteczka i rzekła: Rzeczywiście na to wygląda, że nie jestem jeszcze w stanie wielu rzeczy zrozumieć. Jeśli ten wilk jest muzykalny, to oczywiście powinien mieć fortepian, a choćby nawet i dwa. Ale to, że na tym fortepianie musi jeszcze stać taka figura, to już wydaje mi się komiczne. Co niby miałyby z nią począć?

– To symbol – chciała zacząć wyjaśniać wychowawczynie. Lecz wilk przyszedł małej z pomocą. Zerknął na nią nadzwyczaj szczerze zakochanymi oczami, po czym zerwał się na nogi, tak że cała trójka na chwilę się przeraziła, przeciągnął się, wygiął grzbiet i podszedł do chwiejnego fortepianu, o którego kant zaczął się ocierać i czochrać, a że czynił to z narastającą siłą i gwałtownością, chwiejna figura utraciła równowagę i runęła w dół. Podłoga zadudniła i Goethe, podobnie jak Goethe niejednego filologa, rozpadł się na trzy kawałki. Jeden z tych kawałków wilk obwąchiwał przez chwilę, po czym odwrócił się od nich obojętnie i powrócił w pobliże dziewczynki.

Teraz wychowawczynie wysunęła się na pierwszy plan zdarzeń. Należała do tych, którym pomimo sportowej sukienki i chłopięcej fryzury wydawało się, że odkryły we własnej piersi wilka, należała do czytelniczek i wielbicielek Harry'ego, za którego siostrzaną duszę się uważała; bo również ona nosiła w piersi rozmaite pogmatwane uczucia i problemy życiowe. Słabe przeczucie mówiło jej wprawdzie, że jej dobrze zabezpieczone, towarzyskie i mieszczańskie życie nie jest bynajmniej stepem i odludziem, że nigdy nie znalazłaby w sobie dość odwagi ani rozpacz, by porzucić to bezpieczne życie i podobnie jak Harry zaryzykować śmiertelny skok w chaos. O nie, tego oczywiście nigdy by nie zrobiła. Lecz zawsze miałyby dla wilka stepowego sympatię oraz zrozumienie i bardzo chętnie by mu to okazywała. Miała wielką ochotę zaprosić tego Harry'ego, kiedy tylko znowu przybierze ludzką postać i będzie miał na sobie smoking, na przykład na herbatę albo zagrać z nim na cztery ręce Mozarta. I postanowiła odważyć się na podjęcie próby w tym kierunku.

Mała ośmiolatka obdarzyła tymczasem wilka całą swoją sympatią. Była zachwycona, że mądre zwierzę przewróciło popiersie, i rozumiała bardzo dobrze, że stało się to ze względu na nią, że bardzo dokładnie rozumiał jej słowa i wyraźnie wziął jej stronę przeciwko wychowawczynie. Czy może zdemoluje również głupi fortepian? Ach, był wspaniały, po prostu za nim przepadała.

Harry utracił jednakże całe zainteresowanie dla fortepianu. Przyciśnięty do kraty, przycupnął tuż przed dziewczynką, leżący przy ziemi pysk zwrócił jak łaszący się pies między prętami ku dziewczynce i spoglądał na nią zalotnie zachwyconymi oczyma. Dziecko nie potrafiło się temu oprzeć. Zauroczone wyciągnęło ufnie rączkę i pogłaskało ciemny nos zwierzęcia. Harry zerkał jednak na nią zachęcająco i zaczął bardzo lekko lizać małą rączkę swym ciepłym językiem.

Kiedy guwernantka to ujrzała, jej decyzja zapadła. Również ona chciała dać się Harry'emu poznać jako pełna zrozumienia siostra, również ona chciała się z nim zbratać. Pośpiesznie rozwiązała elegancką paczuszkę z cienkiego papieru i złotej nitki, wyłuskała ze staniolu ładny smakołyk, serce z wybornej czekolady, i wyciągnęła go ze znaczącym spojrzeniem w stronę wilka.

Harry zamrugnął oczami, spokojnie liżąc rączkę dziecka; jednocześnie zwracał baczną uwagę na każdy ruch guwernantki. I dokładnie w chwili, kiedy jej ręka z czekoladowym sercem znalazła się wystarczająco blisko, błyskawicznie kłapnęła i schwycił nagimi zębami serce i rękę. Cała trójka ludzi jednocześnie wykrzyknęła i odskoczyła do tyłu, lecz wychowawczynie nie mogła tego uczynić, gdyż była pochwycona przez swego brata wilka, toteż minęło jeszcze kilka trwoźnych chwil, nim zdołała wyszarpnąć krwawiącą dłoń i mogła się jej z przerażeniem przyjrzeć. Ręka była przegryziona na wylot.

Jeszcze raz biedna panna przenikliwie krzyknęła. Ze swojego wewnętrznego konfliktu była w tej chwili całkowicie uleczona. Nie, nie była wilczycą, nie miała nic wspólnego z tym nieokrzesanym potworem, który teraz obwąchiwał z zainteresowaniem okrwawione czekoladowe serce. I natychmiast stawiała opór.

Pośród skonsternowanej grupy, która wkrótce się wokół niej zgromadziła i w której jej adwersarzem był blady ze strachu właściciel menażerii, panna stała mocno wyprostowana, trzymając krwawiącą dłoń z dala od siebie, żeby uchronić sukienkę, i zapewniała z olśniewającą swadą, że nie spocznie do czasu, aż ten brutalny zamach zostanie pomszczony, i że wszyscy będą zdziwieni, jakiej sumy odszkodowania zażąda za zniekształcenie jej pięknej i biegłej w grze na fortepianie dłoni. Wilk zaś musi zostać zabity, nic innego jej nie zadowoli, już wszyscy się o tym przekonają.

Przedsiębiorca, który szybko się opanował, zwrócił uwagę na czekoladę, która wciąż jeszcze leżała przed Harrym. Dokarmianie drapieżników jest zgodnie z afiszem surowo zabronione, co uwalnia go od wszelkiej odpowiedzialności. Może go spokojnie skarżyć, żaden sąd na świecie nie przyzna jej racji. Jest zresztą ubezpieczony. Paniusia powinna teraz raczej udać się do lekarza.

Tak też uczyniła; ale od lekarza, ledwie ręka została opatrzona, pojechała do adwokata. Klatkę Harry'ego odwiedziły w następne dni setki ludzi.

Od tamtego czasu proces między ową panią a wilkiem stepowym zaprzęta jednak dzień w dzień opinię publiczną. Strona skarżąca usiłuje pociągnąć do odpowiedzialności samego wilka Harry'ego, a dopiero w drugiej kolejności przedsiębiorcę. Albowiem, jak szeroko wywodzi oskarżenie, nie można owego Harry'ego bynajmniej traktować jako nieodpowiedzialnego zwierzęcia; posiada normalne mieszczzańskie nazwisko, jedynie czasowo jest zatrudniony jako dra- pieżnik i wydał własne wspomnienia w formie książki. Niezależnie od tego, jak rozstrzygnie właściwy sąd, proces niewątpliwie przejdzie przez wszystkie instan- cje, docierając aż do sądu najwyższego.

Możemy zatem niebawem oczekiwać z najbardziej miarodajnego urzędu ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii, czy wilk stepowy jest właściwie zwierzęciem, czy człowiekiem.

Król Yu

Opowieść z dawnych Chin

Nieczęste są w dawnych chińskich dziejach przykłady władców i mężów stanu, którzy zostali przywiedzeni do upadku przez to, że ulegli wpływowi kobiety i miłosnego zauroczenia. Jednym z tych rzadkich przykładów, i to nader osobliwym, jest przypadek króla Yu, władcy Dshu, oraz jego żony Bau Si.

Kraj Dshu graniczył od zachodu z ziemiami mongolskich barbarzyńców, a jego stolica, Fong, leżała pośrodku słabo bronionego obszaru, który od czasu do czasu wystawiony był na napaści i łupieżcze najazdy owych barbarzyńskich plemion. Dlatego należało pomyśleć o tym, by w miarę możliwości wzmocnić obronę granic, a zwłaszcza lepiej chronić stolicę.

O królu Yu, który był niepoślednim mężem stanu i umiał słuchać dobrych doradców, podręczniki historii mówią nam, że potrafił za pomocą przemysłnych urządzeń zniwelować słabe strony swoich granic, że jednak wszystkie te pomysły i godne podziwu urządzenia zniweczone zostały przez kaprysy jego ładnej żony.

Król utworzył mianowicie przy pomocy wszystkich swych lennych książąt straż na zachodniej granicy, a owa straż graniczna, podobnie jak wszystkie polityczne twory, posiadała dwoistą postać, to jest moralną i mechaniczną. Moralną podstawą umowy była przysięga i spolegliwość książąt oraz ich urzędników, z których każdy zobowiązał się na pierwsze wołanie o pomoc natychmiast pospieszyć ze swymi żołnierzami w sukurs stolicy i królowi. Mechanika natomiast, którą król się posługiwał, zasadzała się na dobrze przemyślanym systemie wież, jakie kazał zbudować na zachodniej granicy. Na każdej z tych wież dniem i nocą miano pełnić służbę wartowniczą, a same wieże wyposażono w bardzo głośne bębny. Gdyby w jakimkolwiek miejscu na granicy wtargnęli wrogowie, na najbliższej wieży należało uderzyć w bęben i w bardzo krótkim czasie sygnał ten obiegłby cały kraj.

Przez długi czas król Yu zajęty był tym mądrym i pożytecznym systemem, prowadził rozmowy z książętami, wysłuchiwał sprawozdań budowniczych, zarządzał szkolenie wartowników. Miał jednak ulubioną żonę imieniem Bau Si, piękną kobietę, która potrafiła zapewnić sobie większy wpływ na serce i umysł króla, niż jest to dobre dla władcy i jego królestwa. Bau Si podobnie jak jej

małżonek śledziła z wielką ciekawością i zaangażowaniem prace na granicy, tak jak czasem ruchliwa i mądra dziewczynka przygląda się z podziwem i gorliwością zabawom chłopców. Jeden z budowniczych, by rzecz dokładnie unaocznić, sporządził dla niej z gliny zgrabny model zabezpieczenia granic, pomalowany i wypalony; była tam przedstawiona granica oraz system wież, a w każdej małej i zgrabnej glinianej wieży stał całkiem maleńki gliniany strażnik, a zamiast bębna zawieszony był maluteńki dzwoneczek. Ta ładna zabawka sprawiła małżonce króla ogromną przyjemność i kiedy miała zły nastrój, jej służące proponowały jej zwykle zabawę w „najazd barbarzyńców”. Ustawiały wówczas wszystkie wieżyczki, pociągały za sznurki miniaturowych dzwoneczków i były przy tym zadowolone i bardzo wesołe.

Był to wielki dzień w życiu króla, kiedy wreszcie budowle zostały ukończone, bębny ustawione, a ich obsługa przeszkolona i kiedy, po uprzednim dokonaniu uzgodnień, w przynoszącym szczęście dniu kalendarzowym nowy system ochrony granic poddano próbie. Król, dumny ze swych dokonań, był pełen napięcia; urzędnicy dworscy stali gotowi do składania powinszowań, najbardziej jednak ze wszystkich przepełniona oczekiwaniem i podnieceniem była piękna pani Bau Si, która nie mogła się doczekać zakończenia wszystkich przygotowawczych ceremonii i nawoływać.

Wreszcie wszystko było gotowe i po raz pierwszy w wielkiej skali naprawde odegrać miano ową grę w wieże i bębny, która tylekroć sprawiała już przyjemność małżonce króla. Ledwie mogła się powstrzymać przed włączeniem się do zabawy i wydawaniem rozkazów, tak wielkie było jej radosne podniecenie. Król dał jej jednak znak z poważną twarzą i zapanowała nad sobą. Wyczekiwana godzina nadeszła; miał oto zostać odegrany w wielkiej skali, z prawdziwymi wieżami i prawdziwymi bębnami oraz ludźmi, „najazd barbarzyńców”, dla sprawdzenia, jak wszystko zda egzamin. Król dał znak, szambelan przekazał rozkaz dowódcy jazdy, który podjechał pod pierwszą wieżę strażniczą i wydał komendę uderzenia w bęben. Zagrzmiął potężny ton, dźwięk uroczyście i przejmująco rozległ się we wszystkich uszach. Bau Si pobladła z emocji i zaczęła drżeć. Wielki bęben wojenny donośnie śpiewał swą chrapliwą pieśń, przypominającą trzęsienie ziemi, pieśń pełną przestrogi i groźby, pełną przyszłych wydarzeń, wojny i nędzy, lęku i upadku. Wszyscy słuchali jej z głęboką czcią. Kiedy zaczęła przebrzmiewać, dała się słyszeć odpowiedź z następnej wieży, odległa, słaba i szybko zamierająca, a potem nie słyszano już nic; po krótkiej chwili uroczyście milczenie dobiegło końca, znowu zaczęto się odzywać, chodzono tam i z powrotem i rozmawiano ze sobą.

Tymczasem niski, grzmiący dźwięk bębna biegł z drugiej do trzeciej, do dziesiątej i trzydziestej wieży i tam, gdzie stał się słyszalny, każdy żołnierz musiał wedle surowego rozkazu natychmiast stawić się uzbrojony i z wypełnionym chlebakiem w punkcie zbornym, każdy kapitan i pułkownik musiał, nie tracąc ani chwili, przygotować i w najwyższym stopniu przyśpieszyć wymarsz oraz wysłać w głąb kraju ustalone wcześniej rozkazy. Wszędzie tam, gdzie dał się słyszeć odgłos bębnów, przerywano pracę i posiłek, zabawę i sen, pakowano się, siodłano wierzchowce, zbierano się i wyruszano pieszo lub konno w drogę. Wnet ze wszystkich sąsiednich okręgów w stronę stolicy, Fong, spieszyły oddziały.

Na dworze w Fong poruszenie i napięcie, które zawładnęły duszami na straszliwy dźwięk bębnów, wkrótce znowu osłabły. Rozprawiając z ożywieniem, przechadzano się po stołecznych ogrodach, całe miasto świętowało i kiedy po niecałych trzech godzinach z dwóch stron poczęły się zbliżać małe i większe kawalkady, a potem co godzinę przybywały nowe, co trwało cały ten dzień i dwa następne, króla, urzędników i oficerów ogarniał narastający entuzjazm. Król zasypywany był wyrazami czci i powinszowaniami, budowniczych podjęto ucztą, a dobosz z wieży numer jeden, który pierwszy uderzył w bęben, został przez lud ukoronowany wieńcem i był oprowadzany ulicami i przez wszystkich obdarowywany.

Zupełnie zauroczona i jakby odurzona była jednak małżonka króla, Bau Si. Zabawa w wieżyczki i dzwonki zmieniła się w rzeczywistość wspanialszą, niż mogłaby sobie kiedykolwiek wyobrazić. Rozkaz, spowity w szeroką falę warkotu bębnów, przebrzmiał, pogrążając się w głębi pustego kraju, i z oddali, żywy, naturalnych rozmiarów i niesamowity, powrócił efekt jego działania – ze ściskającego serce dudnienia bębnów zrodziła się armia, armia dobrze uzbrojonych setek i tysięcy ludzi, którzy napływali konno i pieszo nieprzerwaną rzeką, nieprzerwanym pośpiesznym ruchem; łucznicy, lekka i ciężka konnica oraz halabardnicy z narastającym zgiełkiem wypełniali stopniowo całą przestrzeń wokół miasta, gdzie podejmowano ich i kierowano do miejsc postoju, a tam witano i ugaszczano, tam rozkładali się obozem, rozbijali namioty i rozpalali ogniska. Trwało to dzień i noc, niczym baśniowe zjawy wyłaniały się z szarej ziemi, dalecy, maleńcy, spowici obłokami kurzu, by w końcu ustawić się tutaj z przytłaczającą realnością, tuż przed oczyma dworu i zachwyconej Bau Si.

Król Yu był wielce zadowolony, a największą przyjemność sprawiał mu zachwyt jego ulubionej żony; promieniała ona szczęściem i jeszcze nigdy nie wydawała mu się tak piękna. Święta nie trwają jednak długo. Również to wielkie święto przebrzmiało i ustąpiło przed codziennością: nie wydarzały się już żadne cuda, nie spełniały się żadne bajeczne marzenia. Bezczyнным i kapryśnym

ludziom wydaje się to nieznośne. W kilka tygodni po święcie Bau Si zupełnie utraciła swój dobry nastrój. Dziecięca zabawa glinianymi wieżyczkami i dzwonekami pociąganyymi za sznurki stała się taka nudna, od kiedy zakosztowała wielkiej zabawy. O, jakież to było czarowne! A teraz wszystko czekało gotowe do powtórzenia upojnej zabawy: wieże stały na swoim miejscu i wisiały w nich bębny, żołnierze zaciągali wartę, dobosze siedzieli ubrani w mundury, wszystko wyczekiwało w napięciu na wielki rozkaz i wszystko miało być martwe i bezużyteczne, dopóki ów rozkaz nie nadejdzie!

Bau Si utraciła swój śmiech, utraciła promienny nastrój; niezadowolony król czuł się okradziony z ulubionej towarzyszką zabaw, umilającej jego wieczory. Musiał jej ofiarowywać coraz wspanialsze prezenty, by zyskać choćby jej uśmiech. Byłby to odpowiedni moment, by zrozumiał sytuację i złożył błahą, słodką czułościowość w ofierze poczuciu obowiązku. Yu był jednak słaby. Ważniejsze niż wszystko inne wydawało mu się, by Bau Si znowu się śmiała.

Uległ więc jej kuszeniu, powoli i opornie, lecz jednak uległ. Bau Si doprowadziła do tego, że zapomniał o swoim obowiązku. Ulegając po tysiackroć powtarzanym prośbom, spełnił jedyne wielkie pragnienie jej serca: zgodził się dać straży granicznej sygnał, jak gdyby ukazał się wróg. Wnet rozległ się głęboki, poruszający głos wojennych bębnow. Królowi jego brzmienie wydało się tym razem złowieszcze i Bau Si również przeraziła się tego odgłosu. Potem jednak powtórzyła się cała zachwycająca zabawa: na krańcu świata pojawiły się małe tumany kurzu, przez trzy dni konno i pieszo przybywały wojska, dowódcy kłaniali się, żołnierze rozbijali namioty. Bau Si była szczęśliwa, jej śmiech jaśniał pełnią swego blasku. Król Yu przeżywał jednak ciężkie godziny. Musiał wyznać, że nie napadł go żaden wróg, że wszędzie panuje spokój. Usiłował wprawdzie usprawiedliwić fałszywy alarm, oświadczając, że był on zbawiennym ćwiczeniem. Nikt mu nie zaprzeczył, skłoniono się i przyjęto jego wytłumaczenie. Lecz między oficerami rozeszła się wieść, że dano się nabrać na zdradziecki żart króla – tylko dla sprawienia przyjemności swej ulubionej żonie zaalarmował całą granicę i wszystkich ich, całe tysiące ludzi postawił na nogi. I większość uzgodniła między sobą, że w przyszłości nie usłuchają już takiego rozkazu. Tymczasem król dokładał starań, by poprawić nastrój niezadowolonych wojsk, ugaszczając je bogato. W ten sposób Bau Si osiągnęła swój cel.

Zanim jednak znowu mogła ulec swoim humorom i powtórzyć wyzbytą skrupułów zabawę, oboje spotkała kara. Barbarzyńcy z zachodu, być może przypadkowo, a być może dlatego, iż dotarła do nich wieść o tym zdarzeniu, pewnego dnia nagle przekroczyli w wielkich konnych zastępach granicę. Wieże niezwłocznie wysłały sygnał, głęboki dźwięk bębnow wzywał nagłaco, biegnąc aż

po najdalsze rubieże. Ale znakomita zabawka, której mechanizm był tak godny podziwu, wydawała się teraz zepsuta – bębny wprawdzie grzmiały, nie wywołały jednak tym razem żadnego odzewu w sercach żołnierzy i oficerów tego kraju. Nie usłuchali bębna i na próżno król wraz z Bau Si wypatrywali na wszystkie strony; nigdzie nie podnosiły się obłoki kurzu, znikąd nie nadciągały małe szare kolumny, nikt nie przychodził im na pomoc.

Wraz z nielicznymi oddziałami, jakie akurat znajdowały się na miejscu, król pośpieszył na spotkanie barbarzyńcom. Tych jednak były krocie; pobili oddziały, zajęli stolicę, Fong, zburzyli pałac, zburzyli wieże. Król Yu utracił królestwo oraz życie i ten sam los spotkał jego ulubioną żonę Bau Si, o której zgubnym śmiechu jeszcze dziś opowiadają podręczniki historii.

Fong zostało zburzone, zabawa przyjęła bardzo poważny obrót. Nie było już gry na bębnach, króla Yu ani śmiejącej się pani Bau Si. Następca Yu, król Ping, nie znalazł żadnego innego wyjścia, jak tylko oddać Fong i przenieść stolicę daleko na wschód; przyszłe bezpieczeństwo swego państwa musiał okupić sojuszem z ościennymi książętami oraz odstąpieniem im wielkich obszarów ziemi.

Ptak

Baśń

We wcześniejszych czasach Ptak żył w okolicy Montagsdorfu. Nie był ani szczególnie kolorowy, ani nie śpiewał szczególnie pięknie, ani też nie był duży i okazały; nie, ci, którzy go jeszcze widzieli, określali go jako niepokąźnego, a nawet maleńkiego. Nie był również właściwie piękny, lecz raczej niezwykły i egzotyczny, miał w sobie coś osobliwego i wspaniałego, co mają w sobie wszystkie zwierzęta i istoty nie należące do żadnego gatunku czy odmiany. Nie był jastrzębiem ani kura, nie był sikorką ani dzięciołem czy ziębą, był ptakiem z Montagsdorfu, nigdzie nie było jemu podobnych, istniał tylko ten jeden raz i wiedziano o nim od prawieków, od niepamiętnych czasów, i chociaż tylko ludzie z najbliższych okolic Montagsdorfu naprawdę go znali, to jednak wiedziano o nim również w szerokim sąsiedztwie i mieszkańcy Montagsdorfu, jak każdy, kto posiada coś bardzo szczególnego, byli czasem z jego powodu przedmiotem żartów. „Ludzie z Montagsdorfu – mówiono – mają swojego ptaka cudaka”. Od Careno aż po Morbio i jeszcze dalej wiedziano o nim i opowiadano o nim historie. Ale jak to często bywa, dopiero w nowszych czasach, a właściwie dopiero od kiedy już go nie ma, próbowano zdobyć o nim dokładne i wiarygodne informacje, wielu obcych pytało o niego i niejednen mieszkaniec Montagsdorfu pozwalał im ugasać się winem i wypytywać, zanim w końcu wyznał, że on sam nigdy Ptaka nie widział. Ale chociaż nie każdy go już widział, to jednak każdy przynajmniej znał jeszcze kogoś, kto raz albo kilkakrotnie widział Ptaka i o nim opowiadał. Wszystko to teraz badano i spisywano i było osobliwe, jak różnie brzmiały wszystkie relacje i opisy, zarówno gdy chodzi o wygląd, głos i sposób latania Ptaka, jak również o jego zwyczaje i stosunki z ludźmi.

W dawniejszych czasach podobno widywano Ptaka znacznie częściej, a ten, kto go spotkał, zawsze odczuwał radość, za każdym razem było to przeżycie, szczęśliwy traf, mała przygoda, podobnie jak dla miłośników natury jest małym przeżyciem i szczęściem, kiedy zobaczą czasem lisa albo kukułkę i mogą je poobserwować. Jest wówczas tak, jakby na parę chwil stworzenie wyzbyło się lęku przed morderczym człowiekiem albo jakby sam człowiek został na powrót włączony w niewinność przedludzkiego życia. Istnieli ludzie, którzy zwracali niewiele uwagi na Ptaka, tak jak istnieją również tacy, którzy niewiele sobie robią ze znalezienia pierwszej goryczki czy ze spotkania ze starym, mądrym wężem,

inni jednak bardzo go kochali i dla nich spotkanie z nim było radością i wyróżnieniem. Czasami, chociaż rzadko, słyszało się opinię, że jest to być może coś szkodliwego, a co najmniej przejmującego lękiem: ten, kto go spostrzegł, przez jakiś czas jest bardzo wzburzony, ma w nocy wiele niespokojnych snów i odczuwa coś jakby ucisk w duszy albo tęsknotę. Inni temu całkowicie zaprzeczali i mówili, że nie istnieje wspanialsze i szlachetniejsze uczucie niż to, jakie Ptak pozostawia po każdym spotkaniu, człowiekowi robi się wówczas na sercu tak jak po komunii albo po wysłuchaniu pięknej pieśni, myśli się o wszystkim, co piękne i przykładne, i postanawia w duchu być innym, lepszym człowiekiem.

Pewien człowiek nazwiskiem Schalaster, kuzyn znanego Sehustera, który przez szereg lat był burmistrzem Montagsdorfu, przez całe życie szczególnie wiele zajmował się Ptakiem. Opowiadał, że każdego roku spotykał go raz lub dwa albo nawet częściej, a potem za każdym razem przez kilka dni czuł się bardzo dziwnie, właściwie nie radośnie, ale był osobliwie poruszony i pełen oczekiwań oraz przeczuć; mówił, że serce bije w takie dni inaczej niż w inne, niemal odrobinę boli, a przynajmniej czuje się je w piersi, podczas gdy kiedy indziej prawie się nie wie, że się je posiada. A w ogóle, powiadał czasem ów Schalaster, kiedy zaczynał o tym mówić, fakt, że ma się w okolicy tego Ptaka, to wszak nie byle co, można być z niego dumnym, jest wielką rzadkością i należałoby sądzić, że człowiek, któremu ten tajemniczy Ptak ukazuje się częściej niż innym, musi mieć w sobie coś szczególnego i wyższego.

(Na użytek czytelników z warstw lepiej wykształconych należy o Schalasterze nadmienić, że był on świadkiem koronnym i często cytowanym źródłem owej eschatologicznej interpretacji fenomenu Ptaka, która zdążyła już popaść w zapomnienie; poza tym po zniknięciu Ptaka Schalaster był rzecznikiem małej partii w Montagsdorfie, która bezwzględnie wierzyła w to, że Ptak wciąż jeszcze żyje i znów się ukaże.)

„Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy – relacjonował Schalaster* – byłem małym chłopcem i jeszcze nie chodziłem do szkoły. W sadzie za naszym domem trawa była właśnie skoszona, stałem pod wiśnią, która zwiesiła ku mnie jedną ze swoich gałęzi, i przyglądałem się twardym, zielonym owocom, kiedy z drzewa sfrunął Ptak, i zaraz zauważyłem, że jest inny od ptaków, które przedtem widywałem. Usiadł na wystrzyżonej trawie i zaczął po niej skakać; biegłem za nim z zaciekawieniem i podziwem przez cały ogród, on zaś od czasu do czasu spoglądał na mnie swoimi błyszczącymi oczami, a potem skakał dalej – było tak jak wówczas, gdy ktoś sam dla siebie tańczy i śpiewa, choć dobrze widziałem, że chce mnie w ten sposób zwabić i sprawić mi przyjemność. Na szyi miał białą

* Zob. *Avis montagnolens. Res gestae ex recens. Ninonis*, s. 285 i nn.

plamkę. Płasał po murawie aż do tylnego płotu, gdzie rosły pokrzywy, przez które przeskoczył i usiadł na sztachecie, zaćwierkał i raz jeszcze spojrzął na mnie bardzo przyjaźnie, po czym zniknął tak nagle i niespodziewanie, że aż się przestraszyłem. Również później często to zauważałem: żadne inne zwierzę nie potrafi tak błyskawicznie pojawiać się i zniknąć jak Ptak, i to zawsze w momencie, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa. Pobiegłem do domu, do matki i opowiedziałem jej, co mi się przydarzyło, na co ona od razu rzekła, że jest to ptak bez imienia i że dobrze się stało, iż go zobaczyłem, bo to przynosi szczęście”.

Schalaster opisuje Ptaka, odbiegając tu nieco od niektórych innych przedstawień, jako małego, niewiele większego od strzyżyka, a najmniejsza u niego jest głowa, osobliwie maleńka, mądra i ruchliwa główka, wygląda on niepozornie, można go jednak natychmiast rozpoznać po jego szaropłowym czubie oraz po tym, że się człowiekowi przygląda, czego nigdy nie robią inne ptaki. Czub jest podobny do czuba sójki, chociaż znacznie mniejszy, i często energicznie unosi się i opada. Ptak jest w ogóle bardzo ruchliwy, zarówno kiedy fruwa, jak kiedy chodzi, a jego ruchy są gibkie i wyraziste; zawsze wydaje się, jakby za pomocą oczu, kiwnięć głową, machania czubem, chodzenia i lotu miał coś do przekazania, przypomnienia człowiekowi o czymś. Pojawia się zawsze jakby na zlecenie, jak posłaniec, i za każdym razem, kiedy człowiek go zobaczy, musi przez jakiś czas o nim myśleć i zastanawiać się nad tym, czego właściwie chciał i co oznacza. Niechętnie pozwala się obserwować i podglądać, nigdy się nie wie, skąd przybywa, zawsze pojawia się całkiem nagle, siedzi w pobliżu i zachowuje się tak, jakby od zawsze tam siedział, i ma wówczas to przyjazne spojrzenie. Wiadomo wszak, że ptaki normalnie mają zimne, płochliwe i szkliste oczy i nie przyglądają się człowiekowi, on natomiast spogląda wesoło i poniekąd życzliwie.

Od dawien dawna istniały o Ptaku rozmaite pogłoski i legendy. Dzisiaj rzadziej się o nim słyszy, ludzie się zmienili, a życie stało się cięższe, prawie wszyscy młodzi udają się do pracy w mieście, rodziny nie przesiadują razem w letnie wieczory na przyzbie, a w zimowe przy ogniu na palenisku, nikt nie ma już na nic czasu, rzadko się zdarza, by młody człowiek znał jeszcze dzisiaj z nazwy kilka leśnych kwiatów albo motyla. A jednak nawet dziś słyszy się czasem, jak jakaś staruszka albo dziadek opowiada dzieciom historie o Ptaku. Jedna z tych legend, być może najstarsza, mówi, że Ptak z Montagsdorfu jest stary jak świat oraz że był kiedyś przy tym, jak Abel został zabity przez swego brata Kaina. Wypił kroplę krwi Abla, a potem poleciał stamtąd z wieścią o jego śmierci i jeszcze dzisiaj powiadamia o niej ludzi, by nie zapomniano tej historii i wyciągano z niej naukę, że ludzkie życie jest święte i należy współżyć ze sobą po bratersku. Ta legenda o Ablu została też w dawnych czasach spisana i istnieje

pieśni o niej, lecz uczeni powiadają, że legenda o ptaku Abła jest wprawdzie prastara i opowiada się ją w wielu krajach i językach, lecz zapewne jedynie przez pomyłkę została przeniesiona na Ptaka z Montagsdorfu. Wywodzą, że byłoby bezsensowne, gdyby liczący wiele tysięcy lat ptak Abła osiadł później wyłącznie w tej okolicy i nie ukazywał się już nigdzie indziej.

My ze swej strony moglibyśmy wprawdzie „wywodzić”, że w legendach nie zawsze wszystko musi się odbywać tak rozumnie jak w akademiach, i moglibyśmy zapytać, czy to właśnie nie za sprawą uczonych w kwestię Ptaka zakradło się tyle niepewności i sprzeczności; bo wcześniej, o ile nam wiadomo, nigdy nie dochodziło do sporów na temat Ptaka i legend o nim, a kiedy ktoś opowiadał o Ptaku coś innego niż jego sąsiad, to przyjmowano to ze spokojem i przynosiło nawet Ptakowi zaszczyt, że ludzie tak różnie mogli o nim myśleć i opowiadać. Można by pójść jeszcze dalej i wysunąć przeciwko uczonym zarzut, że nie tylko mają na sumieniu zgładzenie Ptaka, lecz również usiłują jeszcze teraz za pomocą swoich dociekań sprawić, by wspomnienie i legendy o nim ulotniły się bez śladu, jako że doprowadzanie do ulatniania się substancji, tak by w końcu nic nie zostało, wydaje się należeć do zatrudnień uczonych. Tylko kto z nas miałby smutną odwagę tak brutalnie zaatakować uczonych, którym wszak nauka tak wiele, jeśli nawet nie wszystko zawdzięcza?

Powróćmy jednak do legend, które dawniej opowiadano o Ptaku i których resztki dziś jeszcze można odnaleźć wśród wiejskiego ludu. Większość z nich uznaje Ptaka za zaczarowaną, przemienioną albo przekłętą istotę. Wpływowi podróżników na Wschód, w których dziejach okolica między Montagsdorffem a Morbio odgrywa pewną rolę, a ich ślady wszędzie się tam spotyka, można przypisać legendę mówiącą, że Ptak jest zaklętym Hohenstaufem, a dokładniej owym ostatnim wielkim cesarzem i magiem z tego rodu, który panował na Sycylii i znał tajniki arabskiej mądrości. Najczęściej powiada się, że Ptak był wcześniej księciem albo też (jak miał na przykład słyszeć Sehuster) czarownikiem, który zamieszkiwał kiedyś czerwony dom na wężowym wzgórzu i cieszył się w okolicy poważaniem do czasu, aż wprowadzono tam nowe flachsenfingeńskie prawo krajowe, które niejednego pozbawiło chleba, bo czary, składanie wierszy, przeistaczanie się oraz podobne praktyki zostały zakazane i obłożone infamią. Czarownik posadził wówczas akacje i jeżyny wokół swego czerwonego domu, który wkrótce zniknął wśród ciernistych krzewów, opuścił swój kawałek ziemi i w towarzystwie długiego orszaku węży zniknął w lasach. Od czasu do czasu powracał jako Ptak, by tumanić ludzkie dusze i znowu uprawiać czarnoksięstwo. Nie czym innym jak czarami jest oczywiście osobliwy wpływ, jaki wywiera on na wielu; opowiadający nie chce rozstrzygać, czy czarnoksięstwo, którym się para, należy do białej, czy do czarnej magii.

Z podróżnikami na Wschód związane są również bez wątpienia niezwykle, wskazujące na podłoże matriarchalnej kultury pozostałości legend, w których pewną rolę odgrywa „cudzoziemka”, zwana również Ninon. Niektóre z tych brecht opowiadają, że cudzoziemce owej udało się pochwycić Ptaka i przez lata trzymać w niewoli, do czasu aż wieś zbuntowała się i go uwolniła. Istnieje jednak również pogłoska, że cudzoziemka Ninon знаła Ptaka na długo przedtem, zanim został zaklęty w postać ptaka, jeszcze jako czarnoksiężnika, i mieszkała z nim w czerwonym domu, gdzie mieli hodować długie czarne węże i zielone jaszczurki o niebieskich, pawich główkach, i jeszcze dzisiaj jeżynowe wzgórze ponad Montagsdorfem pełne jest węży, jeszcze dzisiaj można wyraźnie zobaczyć, jak każdy wąż i każda jaszczurka, przechodząc przez owo miejsce, gdzie kiedyś znajdował się próg czarnoksiężskiego warsztatu maga, zatrzymuje się na chwilę, unosi głowę, po czym się kłania. Pewna od dawna nieżyjąca sędziwa wieśniaczka imieniem Nina miała opowiedzieć tę wersję i przysiąc na nią. Bardzo często szukała ziół na owym ciernistym wzgórzu i widziała wtedy, jak żmije kłaniają się w miejscu, gdzie jeszcze teraz wieloletni pniak drzewka różanego znaczy wejście do dawnego czarnoksiężskiego domu. Natomiast inne głosy zapewniają w najbardziej stanowczy sposób, że Ninon nie miała z czarnoksiężnikiem zupełnie nic do czynienia i dopiero znacznie, znacznie później przybyła w tę okolicę w orszaku podróżników na Wschód, kiedy Ptak od dawna już był ptakiem.

Nie minął jeszcze okres życia pojedynczego człowieka od chwili, kiedy po raz ostatni widziano Ptaka. Ale starzy ludzie tak szybko wymierają, również „baron” już nie żyje, a wesoły Mario od dawna nie chodzi już tak wyprostowany jak kiedyś, i pewnego dnia nagle nie będzie już nikogo, kto jeszcze widział Ptaka, dlatego chcemy – choć wydaje się ona tak zawiła – spisać historię tego, jak rzecz miała się z Ptakiem i jak później nadszedł jego koniec.

Chociaż Montagsdorf leży daleko na uboczu i niewiele znane są spokojne, małe leśne wąwozy tej okolicy, gdzie borem rządzi kania, a kukulka wszędy kuka, to jednak często również obcy widywali Ptaka i poznawali legendy o nim; malarz Klingsor miał tam długo mieszkać w ruinie pałacu, wąż w Morbio stał się znany za sprawą podróżnika na Wschód imieniem Leo (od niego to zresztą, wedle dość absurdalnego wariantu legendy, miała Ninon otrzymać przepis na chlebek biskupi, którym karmiła i obłaskawiała Ptaka). Krótko mówiąc, wiele rozprawiano w świecie o naszej tak mało przez stulecia znanej i nieposzlakowanej okolicy i istnieli daleko od nas w wielkich miastach oraz na wyższych uczelniach ludzie, którzy pisali rozprawy o drodze Lea do Morbio i bardzo interesowali się różnymi opowieściami o Ptaku z Montagsdorfu. Mó-

wiono i pisano przy tym rozmaite nierozważne rzeczy, które poważniejsze badania nad legendami usiłują na powrót wyrugować. Między innymi więcej niż raz pojawiło się absurdałne stwierdzenie, że Ptak jest identyczny ze znanym ptakiem Piktora, który związany był z malarzem Klingsorem i posiadał zdolność przeistaczania się oraz wiele tajemnej wiedzy. Ale ów znany za sprawą Piktora „ptak czerwonozielony, ptak piękny i nieustraszony” jest tak dokładnie opisany w źródłach*, że trudno pojąć możliwość takiej pomyłki.

A oto jak owo zainteresowanie świata naukowego nami, mieszkańcami Montagsdorfu, oraz naszym Ptakiem, a tym samym również historia Ptaka osiągnęły w końcu kulminacyjny punkt. Pewnego dnia do naszego ówczesnego burmistrza, wspomnianego już Sehustera, wpłynęło pismo ze zwierzchniego urzędu, w którym jego łaskawość pan poseł Cesarstwa Ostrogockiego, działając z polecenia świetnie poinformowanego tajnego radcy Lützkenstetta, oznajmia tamtejszemu magistratowi i gorąco zaleca do publicznego ogłoszenia w gminie, co następuje: Pewien ptak nieposiadający imienia, w gwarowych zwrotach określany jako „Ptak z Montagsdorfu”, jest badany i poszukiwany przy wsparciu ministerstwa kultury przez tajnego radcę Lützkenstetta. Ktokolwiek ma do przekazania informacje o tym ptaku, jego trybie życia, pożywieniu, dotyczących go przysłowiach, legendach i tak dalej, jest proszony o kierowanie ich za pośrednictwem magistratu do poselstwa Cesarstwa Ostrogockiego w Bernie. Ponadto: ktokolwiek dostarczy rzeczonoego ptaka żywego i zdrowego do wyżej wspomnianego magistratu w celu przekazania go temu właśnie poselstwu, otrzyma za to nagrodę wysokości tysiąca dukatów w złocie; za martwego zaś ptaka lub jego dobrze zachowaną skórę w rachubę wchodzi jedynie wynagrodzenie wysokości stu dukatów.

Burmistrz długo studiował to urzędowe pismo. Sprawa, do której władze dawały się znowu wykorzystać, wydawała mu się niegodna i śmieszna. Gdyby to żądanie zostało skierowane do niego bezpośrednio przez uczonego Gota albo też ostrogockie poselstwo, zniszczyłby je bez odpowiedzi albo dałby tym panom krótko do zrozumienia, że burmistrz Sehuster nie da się użyć do takich igraszek i mogą go uprzejmie pocałować w nos. Jednakże żądanie pochodziło od jego własnej zwierzchności, był to rozkaz, któremu musiał być posłuszny. Również stary pisarz gminny, Balmelli, kiedy przeczytał pismo dalekowzrocznymi oczami, daleko wyciągając ramiona, powściągnął kpiący uśmiech, którego ta sprawa wydawała mu się godna, i stwierdził: „Musimy usłuchać, panie Sehuster, nie ma rady. Ułożę tekst do publicznego obwieszczenia”.

* *Pictoris cuiusdam de mutationibus*, Bibl. Av. Montagn. Codex LXI.

Po kilku dniach cała gmina dowiedziała się zatem z obwieszczenia na ratuszowej tablicy, że Ptak jest wyjęty spod prawa, zagranica pragnie go mieć i wyznaczyła nagrody za jego głowę, Związek Szwajcarski i kanton zrezygnowały z wzięcia legendarnego Ptaka w obronę, jak zawsze przejmowały się tyle co nic prostym człowiekiem i tym, co jest dla niego cenne i miłe. Takie było przynajmniej zdanie Balmellego i wielu innych. Tego, kto by zechciał złapać albo zastrzelić biednego Ptaka, oczekiwała wysoka nagroda, ten zaś, któremu by się to udało, byłby zamożnym człowiekiem. Wszyscy o tym mówili, wszyscy stali pod ratuszem, tłoczyli się przy tablicy ogłoszeniowej i z ożywieniem wyrażali opinie. Młodzi ludzie byli wielce zadowoleni, zaraz postanowili zastawić sidła i rozłożyć wnyki. Stara Nina potrząsnęła siwą, krogulczą głową i rzekła: To grzech i rada federacyjna powinna się wstydzić. Ci ludzie wydaliby samego Zbawiciela, gdyby przyniosło to pieniądze. Ale go nie dostaną, Bogu dzięki, nie dostaną!

Zupełnie spokojnie zachowywał się Schalaster, kuzyn burmistrza, kiedy i on przeczytał obwieszczenie. Nie powiedział słowa, przeczytał je bardzo uważnie po raz drugi, po czym zrezygnował z pójścia do kościoła, co owej niedzieli miał w planie, ruszył wolnym krokiem w stronę domu burmistrza, wszedł do jego ogrodu, ale nagle się rozmyślił, zawrócił i pobiegł do domu.

Schalaster przez całe życie miał szczególny stosunek do Ptaka. Widywał go częściej niż inni i lepiej mu się przyjrzał, należał, jeśli można tak rzec, do tych, którzy wierzyli w Ptaka, brali go poważnie i przypisywali mu coś w rodzaju wyższego znaczenia. Dlatego obwieszczenie podziało na tego człowieka bardzo gwałtownie i bardzo niejednoznacznie. W pierwszej chwili nie odczuł wprawdzie niczego innego niż stara Nina oraz inni leciwi i przywiązani do tradycji obywatele: był przerażony i oburzony tym, że na życzenie kogoś z zagranicy jego Ptak, skarb i symbol wsi i jej okolic, miałby zostać wydany i złowiony albo zabity! Jakże to, ten rzadki i tajemniczy gość z lasów, bajeczna, od dawien dawna znana istota, za sprawą której Montagsdorf był sławny, a także wykpiwany, i po której odziedziczył tak liczne opowieści i legendy – ten Ptak miałby dla pieniędzy czy nauki zostać poświęcony morderczej ciekawości jakiegoś uczonego? Wydawało się to niesłychane, wręcz nie do pomyślenia. To, do czego tu nakłaniano, było świętokradztwem. Z drugiej strony jednak, gdy wszystko się zważyło i to czy owo rzuciło na jedną lub drugą szalę: czyż temu, kto popełniłby świętokradztwo, nie został obiecany nadzwyczajny i wspaniały los? I czyż do tego, by schwytać wielbionego Ptaka, nie był przypuszczalnie potrzebny szczególny, wybrany i od dawna przeznaczony człowiek, taki, który już od dzieciństwa pozostawał z Ptakiem w bardziej tajemniczych i poufanych stosunkach oraz był uwikłany w jego losy? I któż mógł być tym wybranym i jedynym w swoim rodzaju człowiekiem, któż inny niż on, Schalaster? A jeśli targnięcie się na Ptaka było

świętokradztwem i zbrodnią, świętokradztwem porównywalnym ze zdradą Judasza Iskarioty na Zbawicielu – to czy właśnie ta zdrada, czy śmierć i ofiara Zbawiciela nie były konieczne i święte, a także od najdawniejszych czasów przeznaczone i przepowiedziane? Czy, zapytywał Schalaster samego siebie oraz świat, pomogłoby w najmniejszym stopniu, czy mogłoby w najdrobniejszej mierze zmienić decyzję i dzieło odkupienia, gdyby ów Iskariota z moralnych i rozumowych pobudek uchylił się od odegrania swej roli i odmówił popełnienia zdrady?

Takimi mniej więcej drogami biegły myśli Schalastera, wywołując w nim wielkie wzburzenie. W tym samym ojczystym sadzie, gdzie kiedyś jako mały chłopiec po raz pierwszy ujrzał Ptaka i odczuł osobliwy dreszcz szczęścia wynikły z tej przygody, przechadzał się teraz niespokojnie tam i z powrotem, na tyłach domu, obok obory dla kóz, obok kuchennego okna i królikami, ocierając się niedzielnym surdudem o zawieszane na tylnej ścianie stodoły grabie do siana, widły i kosy, aż do upojenia podniecony i oszołomiony myślami, pragnieniami i postanowieniami, z ciężkim sercem, myśląc o owym Judaszu z tysiącem ciężkich wyśnionych dukatów w mieszku.

Tymczasem poruszenie we wsi trwało nadal. Od momentu ogłoszenia wiadomości prawie cała gmina zebrała się przed ratuszem, od czasu do czasu ktoś podchodził do tablicy, żeby jeszcze raz przyjrzeć się obwieszczeniu, wszyscy zdecydowanie wyrażali swoje poglądy i zamiary, przytaczając dobrze dobrane dowody wzięte z doświadczenia, przyrodzonego rozumu i Pisma Świętego, niewielu było takich, co od pierwszej chwili nie zajęliby stanowiska na tak albo na nie wobec obwieszczenia, które podzieliło wieś na dwa obozy. Zapewne niejednemu towarzyszyły te same uczucia co Schalasterowi, to znaczy uważał wprawdzie polowanie na Ptaka za obrzydliwe, z drugiej jednak strony chętnie wszedłby w posiadanie dukatów, tylko że nie każdy potrafił w tak pieczołowity i zawily sposób rozwikłać w duszy tę rozterkę. Młodzi chłopcy brali to najlżej ze wszystkich. Moralne czy bogoojczyźniane skrupuły nie były w stanie osłabić ich przedsiębiorczości. Uważali, że trzeba spróbować zastawić potrzaski, może będzie się miało szczęście i schwyta się ptaka, chociaż nadzieja na to nie jest zapewne zbyt duża, nie wiadomo przecież, jakimi przynętami można go zwabić. Gdyby jednak któryś go zobaczył, dobrze by zrobił, natychmiast strzelając, bo w końcu lepiej mieć sto dukatów w sakiewce niż tysiąc w imaginacji. Głośno przyznawano im słuszność, a oni z góry rozkoszowali się swoimi czynami i sprzeczały się już o szczegóły polowania na Ptaka. Niechby mu dano dobrą strzelbę, wykrzyknął jeden, i małą zaliczkę w wysokości pół dukata, a byłby gotów natychmiast wyruszyć, poświęcając całą niedzielę. Jednakże przeciwnicy, do których należeli niemal wszyscy starsi ludzie, uważali to wszystko za niesłychane i wykrzykiwali albo mruzczyli pod nosem sentencje pełne mądrości oraz przekleństwa pod

adresem dzisiejszego ludu, dla którego nie ma już nic świętego i który zatracił wszelką poczciwość i wiarę. Młodzi odpowiadali im ze śmiechem, że nie o poczciwość i wiarę tu chodzi, lecz o umiejętność strzelania, oraz że cnota i mądrość zawsze jest w cenie u tych, których niedowidzące oczy nie byłyby już w stanie wycelować do żadnego ptaka, a artretyczne palce nie mogłyby utrzymać strzelby. I tak przekomarzano się wesoło, lud ostrzył dowcip na tym nowym problemie, omal nie zapominając o południowej godzinie i porze obiadu. W większym lub mniejszym związku z Ptakiem opowiadali namiętnie i ze swadą o swych rodzinnych sukcesach i niepowodzeniach, przypominali wszystkim o świętej pamięci dziadku Nathanaelu, o starym Sehusterze, o legendarnym przemarszu podróżników na Wschód, przytaczali wersety ze śpiewnika i ulubione miejsca z oper, uznawali się nawzajem za nieznośnych, a jednak nie potrafili się rozstać, powoływali się na dewizy i praktyczne maksymy swoich przodków, wygłaszali monologi o minionych czasach, o zmarłym biskupie, o przebytych chorobach. Pewien stary chłop utrzymywał na przykład, że podczas ciężkiej choroby z łoża boleści ujrzał przez okno Ptaka, tylko na chwilę, ale od tego momentu zaczęło mu się poprawiać. Rozprawiali tak, po części każdy do siebie, zwracając się do wyobrażonych twarzy, a po części do współmieszkańców wsi, zabiegając o zainteresowanie albo oskarżając, przyznając rację albo szydząc. Zarówno w sporze, jak i w zgodzie mieli dobroczynne poczucie siły, starości i wiecznego trwania swej wspólnoty, wydawali się sobie starzy i mądrzy, wydawali się sobie młodzi i mądrzy, pokpiwali z siebie nawzajem, bronili z zapalem i całkowitą słusznością dobrych obyczajów ojców, z zapalem i całkowitą słusznością podawali w wątpliwość dobre obyczaje ojców, chełpili się swoimi przodkami, podśmiewali się ze swoich przodków, sławili ich wiek i doświadczenie, sławili ich młodość i swawolność, niemalże doprowadzali do bójki, ryczeli, śmiali się, napawali się poczuciem jedności i ścieraniem się ze sobą, brodzili wszyscy po szyję w przekonaniu, że mają rację i że dobitnie to innym powiedzieli.

Jednakże pośród tych ćwiczeń oratorskich i tworzenia się stronnictw, kiedy dziewięćdziesięcioletnia Nina zaklinała właśnie swego jasnowłosego wnuka, aby przez wzgląd na swoich przodków nie przyłączał się do tego bezbożnego i okrutnego, a na dodatek niebezpiecznego polowania na Ptaka, i kiedy chłopcy bez uszanowania odgrywali przed jej sędziwym obliczem pantomimę przedstawiającą polowanie, przykładali do policzków urojone strzelby, celowali, mrużąc oko, po czym krzyczeli pif-paf, wydarzyło się coś tak nieoczekiwanego, że starzy i młodzi umilkli w pół słowa i zamarli w bezruchu. Na okrzyk starego Barmellego wszystkie spojrzenia zwróciły się w kierunku wskazanym przez jego wyciągnięte ramię oraz palec i ujrzeli w zapadłym nagle głębokim milczeniu, jak z

dachu ratusza sfrunął Ptak, ten sam Ptak, o którym tyle mówiono, usiadł na krawędzi tablicy ogłoszeniowej, potarł główką o skrzydło, zaostrzył dziób i zaczął krótką melodię. Ujrzeni, jak machając w górę i w dół zwinnym ogonem, wyciągał trele, jak stroszył czub i na oczach wszystkich – on, którego nie jeden z mieszkańców wsi znał jedynie z opowiadań – dłuższą chwilę czyścił się i pokazywał, ciekawie przechylając głowę, jakby on również chciał przeczytać obwieszczenie władz i dowiedzieć się, ile zaoferowano za niego dukatów. Być może zatrzymał się jedynie na kilka chwil, ale wszystkim wydało się to uroczystą wizytą i wyzwaniem i nikt nie wołał już pif-paf, ale wszyscy stali i gapili się jak zaczarowani na odważnego gościa, który do nich przyleciał, wyraźnie wybierając to miejsce i moment tylko po to, żeby się z nich ponatrząsać. Zdumieni i zakłopotani wytrzeszczali oczy na tego, który tak ich zaskoczył, z uszczęśliwieniem i życzliwością przypatrywali się zgrabnemu małemu filutowi, o którym dopiero co tyle mówiono, z którego powodu ich okolica była sławna, który kiedyś był świadkiem śmierci Abła albo Hohenstaufem, czy też księciem albo czarodziejem i mieszkał w czerwonym domu na wężowym wzgórzu, gdzie jeszcze teraz żyło wiele żmij, jemu, który wzbudził ciekawość i chciwość cudzoziemskich uczonych i mocarstw, jemu, za którego schwytanie wyznaczono nagrodę w wysokości tysiąca sztuk złota. Wszyscy bardzo go kochali i podziwiali, również ci, co już sekundę później przeklinali i tupali ze złości, że nie mieli przy sobie strzelby; kochali go i byli z niego dumni, należał do nich, był ich chwałą, ich godnością, siedział, kiwając ogonem, z nastroszonym czubkiem, tuż nad ich głowami, na krawędzi tablicy, jak ich książkę albo herb. I dopiero kiedy nagle zniknął i miejsce, w które wszyscy się wpatrywali, opustoszało, powoli obudzili się z oczarowania, zaśmiali się do siebie nawzajem, zakrzyknęli „brawo”, wysławiali Ptaka, wołali o strzelby, pytali, w którym kierunku odleciał, przypominali sobie, że był to ten sam Ptak, przez którego został kiedyś uzdrowiony stary wieśniak i którego znał już ojciec dziewięćdziesięcioletniej Niny, odczuwali coś osobliwego, coś w rodzaju szczęścia i ochoty do śmiechu, lecz jednocześnie coś w rodzaju tajemnicy, czarów i zgrozy, i nagle wszyscy zaczęli się rozbiegać, żeby zdążyć na zupę do domu i zakończyć już to podniecające zgromadzenie ludowe, podczas którego duchowe siły wsi gwałtownie wezbrały, a którego królem w oczywisty sposób był Ptak. Przed ratuszem zrobiło się cicho i kiedy w chwilę później dzwon zaczął bić na południe, cały rynek był pusty i wymarły, a na biały, oświetlony słońcem papier obwieszczenia powoli opadał cień, cień listwy, na której jeszcze niedawno siedział ptak.

Schalaster chodził tymczasem, pogrążony w myślach, tam i z powrotem za swoim domem, obok grabi i kos, obok królikami i obory dla kóz; jego kroki stopniowo stawały się spokojne i równomierne, a teologiczne i moralne rozważania

były coraz bliższe równowagi i wyciszenia. Południowe dzwonienie obudziło go, lekko przestraszony i otrzeźwiony powrócił do obecnej chwili, rozpoznał wołanie dzwonów, wiedział, że zaraz głos żony wezwie go na posiłek, zawstydził się nieco swego zamyślenia i zaczął mocniej stąpać w wysokich butach. Lecz dokładnie w chwili, kiedy odezwał się głos jego żony, potwierdzając zew wiejskiego dzwonu, nagle wydało mu się, że coś zamigotało mu przed oczami. Tuż obok niego coś zaświszczało i owionął go krótki podmuch powietrza – na wiśni siedział Ptak, siedział leciutko jak kwiecie na gałęzi i kiwał filuternie swoim czubem z piór, przekreślił główkę, cicho zakwilił, spojrział mężczyźnie w oczy – znał on spojrzenie Ptaka od dzieciństwa – i już znowu podskoczył, znikając między gałęziami i w przestworzach, zanim jeszcze wpatrujący się w osłupieniu Schalaster zdążył wyraźnie odczuć szybsze bicie serca.

Od tamtej niedzielnej południowej godziny, kiedy Ptak siedział na wiśni Schalastera, jeszcze tylko jeden jedyny raz był on widziany przez człowieka, i to ponownie przez tego właśnie Schalastera, kuzyna ówczesnego burmistrza. Postanowił on sobie stanowczo zdobyć Ptaka i otrzymać dukaty, a ponieważ jako stary znawca ptaków dobrze wiedział, że nigdy nie uda się go schwytać, doprowadził do porządku starą fuzję i sprawił sobie zapas śrutu najdrobniejszego kalibru, zwanego maczkiem. Gdyby – tak sobie rachował strzelił do niego tym drobnym śrutem, prawdopodobnie Ptak nie spadłby zabity i rozszarpany, lecz jedno z maleńkich ziarenek śrutu lekko by go zraniło, a strach by go ogłuszył. W ten sposób można było dostać go w ręce żywego. Roztropny mężczyzna przygotował wszystko, co mogło posłużyć jego zamysłowi, również małą klatkę dla śpiewającego ptaka, by zamknąć w niej więźnia, i od tej chwili dokładał wszelkich wysiłków, żeby nigdy nie oddalić się zbyt od swej stale naładowanej strzelby. Gdzie tylko się dało, nosił ją ze sobą, a jeśli gdzieś nie sposób jej było zabrać, na przykład do kościoła, niechętnie tam chodził. Pomimo to w chwili, kiedy ponownie spotkał Ptaka – było to jesienią owego roku – nie miał akurat pod ręką strzelby. Zdarzyło się to zupełnie blisko jego domu, Ptak jak zwykle pojawił się bezszelestnie i dopiero kiedy przysiadł, powitał go dobrze znajomym szczebiotem; siedział zadowolony na sękatym konarze starej wierzby, z którego Schalaster często odcinał gałązki do podwiązywania krzewów szpalerowych. Siedział tam, o niecałe dziesięć kroków dalej, świergocząc i gaworząc, i kiedy jego wróg raz jeszcze odczuwał w sercu owo cudowne uszczęśliwienie (zarazem błogie i bolesne, jakby nawoływano kogoś do życia, któremu nie był on w stanie sprostać), jednocześnie po karku spływał mu pot z lęku i zatroskania, czy zdoła wystarczająco szybko dostać się do swojej broni. Wiedział przecież, że Ptak nigdy nie zatrzymuje się na długo. Popędził do domu, wrócił ze strzelbą, ujrzał Ptaka wciąż jeszcze siedzącego na wierzbie i zaczął

powoli i cicho się do niego skradać. Ptak nie spodziewał się niczego złego, ani strzelba, ani osobliwe zachowanie mężczyzny nie budziły w nim niepokoju – podnieconego mężczyzny o dzikim wzroku, przyczajonych ruchach i nieczystym sumieniu, któremu wyraźnie sprawiało wiele trudu udawanie kogoś wyzbytego złych zamiarów. Ptak pozwolił mu blisko podejść, spoglądał na niego poufale, usiłował dodać mu odwagi, przyglądał się filuternie, gdy wieśniak uniósł strzelbę, przymrużył oko i długo mierzył. W końcu huknął wystrzał i jeszcze zanim obłok dymu się rozwiął, Schalaster klęczał już pod wierzbą i szukał. Od wierzby po płot ogrodu i z powrotem, do pasieki i z powrotem, do grządki fasoli i z powrotem przeszukiwał trawę, każdą piędź, dwukrotnie, trzykrotnie, przez godzinę, przez dwie godziny, a następnego ranka znowu i znowu. Nie mógł znaleźć Ptaka, nie mógł znaleźć ani jednego pióra. Wyniósł się stąd, zbyt obcesowo sobie tu z nim poczynano, huk był za głośny, Ptak kochał wolność, kochał lasy i spokój, nie podobało mu się już tutaj. Umknął i również tym razem Schalaster nie zdołał dojrzeć, w którą stronę poleciał. Być może powrócił do domu na wężowym wzgórzu i niebieskozielone jaszczurki kłaniały się przed nim na progu. Być może uciekł jeszcze dalej w głąb przestrzeni i czasu, do Hohenstaufów, do Kaina i Abla, do rajów.

Od tamtego dnia nie widziano już Ptaka. Wiele jeszcze o nim mówiono, nie umilkło to po dziś dzień, mimo upływu lat, a w pewnym ostrogockim mieście uniwersyteckim ukazała się książka o nim. O ile w dawnych czasach opowiadano o nim rozmaite legendy, o tyle od chwili swego zniknięcia on sam stał się legendą i wkrótce nie będzie już nikogo, kto mógłby pod przysięgą stwierdzić, że Ptak rzeczywiście żył kiedyś, że był kiedyś dobrym duchem swej okolicy, że kiedyś wyznaczono za niego wysokie nagrody, że do niego strzelano. Wszystko to być może zostanie kiedyś, gdy w późniejszych czasach jakiś uczony znowu będzie badał tę legendę, uznane za wytwór ludowej fantazji i krok po kroku wyjaśnione na podstawie praw mitotwórstwa. Bo oczywiście nie da się zaprzeczyć, że wszędzie i zawsze istnieją istoty uważane przez innych za szczególne, za ładne i urocze oraz czczone przez niektórych jako dobre duchy, gdyż nawołują do piękniejszego, swobodniejszego, wznioślejszego życia niż to, jakie prowadzimy, i wszędzie dzieje się wówczas podobnie: wnuki natrząsają się z dobrych duchów swoich dziadków, na ładne i urocze istoty urządza się pewnego dnia polowanie i zabija się je, za ich głowę lub skórę wyznacza się nagrody, a wkrótce potem ich istnienie staje się legendą, która leci dalej na ptasich skrzydłach.

Nikt nie potrafi powiedzieć, jakie formy przybierze jeszcze kiedyś nauka o Ptaku. O tym, że Schalaster zupełnie niedawno w straszliwy sposób zszedł z tego świata, najprawdopodobniej w wyniku samobójstwa, informujemy jeszcze dla

porządku, nie zamierzając przy tym pozwalać sobie na opatrywanie tego faktu jakimkolwiek komentarzem.